Nr. 36. Lwów, Niedziela dnia 5. Maja 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

WYSTAWA POWSZECHNA W PARYŻU.

Wśród huku dział, ogłoszono we środę otwarcie wystawy paryskiej...

Praca, od lat kilku, z takim wysiłkiem przez Francyą prowadzona, została nareszcie światu pokazaną. Naród, zgniecony przemocą pięści, występuje do nowej walki, gdzie w szranki wchodzą armie uzbrojone nie w Krupy i Szaspoty, lecz w to, co się z potęgi ducha rodzi. Jeśli w tej walce co polegnie i będzie zgnieconem, to tylko to, co jest niedołężnem, co nie ma dość siły umysłowej, by zdążyć za postępem cywilizacyi.

Dziwne, lecz budujące wrażenie robi przyprowadzenie do skutku tej wystawy. Zmora wojny tłoczy cały nasz ląd stary, czuć w powietrzu gromy, które lada moment wybuchną, połowa Europy zbroi się przeciw drugiej połowie, i gdy w Paryżu, w chwili uroczystej otwarcia, rozległ się huk dział i rozbił się o mury miasta, to zdawało się wszystkim, iż zawtóruje tym strzałom weselnym echo groźne z nad Bosforu...

Od lat paru Francya, zgnębiona militarnie przez wroga, wysilała wszystkie swe zasoby, żeby wielkie dzieło przyprowadzić do skutku i od tych lat paru mnożyły się bez przerwy trudności, zagrażające wykonaniu tej myśli. Wojna ciągle się szerzyła, wybuchając coraz szerszemi płomieniami i wciągając w swój wir coraz większe koło. Wielkie Niemcy, zawstydzone rezultatem wystawy filadelfijskiej, odmówiły w tym czasie swego współudziału, a kilka innych państw zaczęło się wskutek tego wahać w swych postanowieniach i była chwila taka, iż się zdawało, że wszystkie przygotowania pójdą na nic... Lecz nie zważając na te komplikacye zewnętrzne, najdzielniejsze umysły we Francyi wytężały wszystkie swe siły dla doprowadzenia rozpoczętego dzieła do skutku i w obec tych niezmordowanych usiłowań, wiara w wystawę wzbudziła się na nowo, i wszystkie kraje świata, z wyjątkiem Niemiec, przystąpiły do udziału w wielkiem świecie międzynarodowem. A i to państwo, widząc w ostatniej chwili pomyślny rozwój dzieła, pozwoliło swym artystom zmierzyć się z artystami świata.

Lecz nie tylko na zewnętrzne trudności napotykali ci, którym sprawa wystawy powszechnej na sercu leżała. Wewnątrz samego kraju znaleźli się tacy, którzy twierdzili, iż wystawy powszechne już się przeżyły, iż pożytek z nich bardzo mały i przepowiadali zupełne niepowodzenie i brak udziału. Zapomnieli o tem, że naturalny porządek rzeczy wytwarza coraz nowe pokolenia, coraz nowe sfery, żądne wiedzy opartej nie na książce, lecz na przedmiocie, że rok każdy przynosi z sobą całe tłumy przemysłowców, wynalazców, artystów, których całem zadaniem zdobyć sobie publiczne uznanie, okazać się wyższymi od poprzedników. W naszym wieku gorączkowego postępu, nie wolno nikomu zasypiać na laurach raz zdobytych, pod karą zupełnego zapomnienia. Zresztą chociaż ostatnia wystawa powszechna w Europie tak niedawno się odbyła, to przecież te kilka lat przyniosły nam tyle nowych ulepszeń, tyle wynalazków, tyle w przemyśle wprowadzono nowych metod i narzędzi, że dawniej na to trzeba było całych lat dziesiątków.

I te wewnętrzne skrupuły, dzięki jednozgodnym, patryotycznym namowom całej prasy, zostały usunięte.

Jednym z tych, którzy najwięcej się przyczynili do pomyślnego rezultatu, jest komisarz generalny wystawy, senator Krantz, którego niczem nie zdołano zniechęcić, który ani na chwilę nie ustąpił z raz wytkniętej drogi i do narodu zmięszanego grozą wypadków zewnętrznych, zachwianego w swym śmiałym zapędzie, potrafił przemówić w sposób patryotyczny, wzbudzający zaufanie, i który własnym przykładem potrafił zachęcić do gorączkowej pracy tych, którzy do wielkiego dzieła rękę przyłożyli.

Jaki będzie udział publiczności zagranicznej, tego w tak niepewnej chwili przewidzieć nie można. Jednak to już jest faktem dokonanym, że wystawa jest najwspanialszą, najpiękniejszą i najbardziej pouczającą ze wszystkich dotychczasowych. Trzydzieści tysięcy wystawców wzięło w niej udział. Nie jest to olbrzymia szopa z towarami bezładnie porozrzucanymi, nie jest to taki zbiór dziwacznych i pełnych fantazyi, lecz bez pożytku okazów z całego świata. Tam gdzie chodzi o pożytek, systematyczność i surowość w wyborze przedmiotów doprowadzona do granic możliwych. Tam gdzie chodzi o uprzyjemnienie wolnych chwil zwiedzającym, elegancya i dobry smak francuski występują w całej swej okazałości.

Rola, jaką my, Polacy, na tej wystawie odgrywamy, jest niestety, dzięki naszym nieszczęśliwym warunkom, bardzo mała. Ani w przemyśle, ani w wynalazkach nie zajmujemy pierwszorzędnego miejsca. Zresztą i to, cośmy tam posłali, porozrzucano w trzech odrębnych działach, i jeżeli jest jaka zasługa, to ją nie nam przypiszą. Sic vos non vobis... Jako całości nam występować nie wolno.

Jest tylko jedna dziedzina, gdzie imię Polski jaśnieje na samem czele. Imiona polskich mistrzów sztuki zanadto już są dobrze znane światu, żeby ich nam odbierano i chociaż w samej tylko galeryi sztuk pięknych, jednak zawsze rachować się z nami będą. Lecz i tu spotykamy parę dysonansów. Siemiradzki wysłał podobno na wystawę tylko parę mniejszych obrazów, a „Świeczniki Chrześciańśtwa“ z niewiadomych przyczyn nie pokażą się tam wcale. „Grünwaldzka bitwa“ ma uledz temu losowi, z powodu że Matejko nie był w stanie dokończyć dzieła.

Czyż i tu mają nas spotkać zawody?

MIĘDZY LUDŹMI.

POWIEŚĆ

przez

BOLESŁAWA PRUSA.

(Dokończenie).

XII.

Requiem aeternam dona ei Domine.

Pan Anzelm stanął w Warszawie w wigilię Nowego roku, wynajął pokój w hotelu

Polskim i nie tracąc ani chwili czasu, poszedł do domu, w którym, według słów Jasia, powinien był rezydować szlachetny opiekun sieroty.

— Czy tu mieszka pan Karol? — zapytał szlachcic stróża, zatrzymując się w bramie.

— Tu, na pierwszem piętrze. Ale pewno go nie ma, bo dopiero co wyszedł.

Szlachcic sięgnął do portmonetki, a stróż zdjął czapkę.

— Nie wiesz, mój przyjacielu — mówił dalej szlachcic — czy u pana Karola jest jeszcze taki mały chłopiec Jaś?..

— Aha!.. To ten, co mu matka w lecie z głodu umarła... Był on tu, ale teraz jest u krawca, u Durskiego i nawet nigdy u tego pana nie bywa.

Usłyszawszy o śmierci z głodu, pan Anzelm aż się wstrząsnął. Potem zapytał stróża o adres krawca, dał mu dwa złote i jakiś gniewny kazał się wieść w okolicę Starego Miasta. W magazynie ubiorów męzkich znalazł tylko jejmość panią Durską. Gdy zaś ją zapytał o Jasia, tłusta dama załamując ręce, krzyknęła:

— Ach mój panie serdeczny! także pan trafił... Imaginuj pan sobie, że ten łajdak Jędrek, o ten co się za szaję chowa, okradł nas, a mój stary Jasia posądził! No i wyobraź pan sobie, że biedny chłopiec uciekł!... A takem go kochała! przepadałam za nim, mówię panu...

— Mniejsza o to — przerwał szlachcic oblewając się rumieńcem — ale gdzie on jest teraz?..

— Otóż to, że nie wiemy, drogi panie! — jęknęła przestraszona majstrowa. — Albo ja wiem, może się zabił, a może się zastrzelił?!..

— A do stu tysięcy dyabłów!.. — krzyknął zsiniały szlachcic, tupnąwszy gwałtownie nogą. — To wy się tu tak opiekujecie sierotami w Warszawie?..

— Ach, dobry panie!.. ach szlachetny panie!.. — lamentowała biedna majstrowa, patrząc z trwogą na sękaty kij gościa. — Ach to ten mój... niby mąż winien, a nie ja nieszczęśliwa!... Z innej ja pochodzę kondycyi, drogi panie, i mogłam wyjść za uczciwego urzędnika...

— Gdzie więc mąż pani?! — wrzasnął wściekły z gniewu szlachcic, uderzając znowu kijem o podłogę.

— Ach!.. Pobiegł przecie szukać Jasia i tego łajdaka Panewkę... Jędrek! a skocz no po kuf.... po pana, chciałam powiedzieć...

Łotr szybko rzucił się do drzwi i za chwilę sprowadził majstra, który stawiał nogi w sposób bardzo niepewny, miał niezwykle bladą twarz i jak zwykle nos pięknego amarantowego koloru.

— Gdzie Jaś?.. — zapytał krótko pan Anzelm.

Durski spojrzał na wylęknioną żonę, zachwiał się jeszcze bardziej na nogach i z rezygnacyą odparł:

— Uciekł panie! choć go kochałem jak rodzonego syna... Teraz szukam go panie po całych dniach, ale... że trzech kupców petersburskich spotkało mnie tu, naprzeciw, w bawaryi, więc...

— Zapłaczę ja wam, poczciwi opiekunowie! i wybiegł ze sklepu gwałtownie trzaskając drzwiami.

— Spóźniłem się!... Bóg widać pogardza moją ofiarą! — szeptał szlachcic, biegnąc do ratusza. Gdy przybył tam i zażądał aby szukano Jasia, jeden z urzędników rzekł:

— Chłopca tego już szukają. Wczoraj był tu jakiś Panewka i zostawił nawet bardzo szczegółowy rysopis. Twarz okrągła, blond włosy... ubrany był w czarne paleto, czapkę z daszkiem... znaków szczególnych nie miał żadnych.

— Mnie tam nie chodzi o znaki szczególne, tylko o chłopca! — i obiecawszy pięćdziesiąt rubli nagrody temu, kto znajdzie, poszedł dalej mrucząc:

— Ciekawym, kto jest ten Panewka?... Jakiś z niskiej klasy, lecz widocznie uczciwy człowiek.

Na drodze dowiedział się o adresie biura posłańców i poszedł tam z prośbą, aby komisyonerzy szukali Jasia, znowu obiecując pięćdziesiąt rubli nagrody. Biuro chętnie przyrzekło pomoc, nadmieniając, że już jakiś Ignacy Panewka zgłaszał się do niego w tym samym interesie.

Z kolei pan Anzelm począł obchodzić kościoły, żądając, aby z ambon ogłoszono o zaginięciu chłopca imieniem Jaś, ubranego w czarne paleto i czapkę z daszkiem. Księża z uprzejmością uwzględnili to żądanie, dodając od siebie, że już o to samo proszeni byli, przez jakiegoś niskiego człowieka, z wielką głową. Słowem, gdziekolwiek szlachcic udał się z ogłoszeniem o Jasiu: do wszystkich redakcyi, do rabinów, a nawet do dziadów włóczących się po ulicach, wszędzie przekonał się, że go już ktoś inny uprzedził.

— To musi być jakiś niepospolicie sprytny człowiek! — myślał sobie pan Anzelm o Panewce, nie wiedząc, że biedny ten człeczyna, tylko kraje jak *Szabu*, a głupi jak but... lecz że miłość podsuwała mu takie plany, jakich nie powstydziłby się najzdolniejszy agent policyi!...

Wróciwszy do hotelu, pan Anzelm z rozpaczą rzucił się na łóżko i cały Nowy Rok przeleżał na niem, nie rozbierając się, nie śpiąc, nie jedząc, ani pijąc. Czuł on, że wszelkie poszukiwania jego są nadaremne, a jednocześnie poznał, że po nitce litości wkradło się do jego serca wielkie przywiązanie do sieroty.

2-go stycznia, około jedynastej w południe, dano znać panu Anzelmowi, że się Jaś znalazł i że jest w ratuszu. Szlachcic ofiarował posłowi trzy ruble, dorożkarzowi rubla i w parę minut, z oczami pełnemi łez, stanął w kancelaryi.

Tu zastał jakiegoś robotnika, starą kobietę, komisyonera i stójkowego, którzy otaczali chłopca ubranego w czarny paletocik. Anzelm spojrzał mu w oczy i osłupiał.

— Jak ci na imię? — spytał to indywiduum.

— Jaś proszę pana!.. żeby mię tak *holera* zatłukła... — odpowiedział chłopiec z wiśniowym nosem i kilkoma sińcami na twarzy.

Szlachcic nie wiedział, co myśleć. W tej chwili jednak, zbliżył się do ulicznika jakiś stary policyant, popatrzył mu bystro w twarz, a następnie odchyliwszy kołnierz paletota i przeczytawszy na podszewce etykietę: „Kalasanty Durski w Warszawie,“ rzekł:

— No, gadaj ty prawdę, tyś zabił tego małego!...

Anzelm upadł na krzesło, a tymczasem chłopak wrzaskliwym głosem odpowiedział:

— Nie zabiłem... jak Boga kocham! On mi sam ten paltok darował... żebym tak w ziemię wrósł!.. On przecie służył u mnie, niech sam powie... Karmiłem go, jak własnego syna... ale jakeśmy się pobili z Marcinem wczoraj wieczór, tak on psia kość wziął i uciekł!.. Żebym tak skonania nie doczekał!...

— No, a dla czego ty się Jasiem przezywasz, kiedy ty jesteś Antek? — badał dalej stary policyant.

— To też Antek!... przecie mówiłem, że Antek...

— Co ty tu będziesz łgał łotrze! wszyscy słyszeli, żeś się Jasiem nazywał...

— Ehe!... — odparł zadziowiony ulicznik — kiedy tak, to pewnie musiałem zapomnieć!..

Ponieważ Antek był już bardzo dobrze znany policyi, przyniesiono więc jego stan służby, z którego dowiedziano się, że ulicznik był już kilkanaście razy pod aresztem. Raz za to, że dmuchał w rurki wodotrysku przed pocztą, drugi raz, że wybił kamieniem szybę w omnibusie, dalej za to, że okradł pudla i zabrał mu obrożę i kaganiec, potem za to, że się nieobyczajnie zachowywał na ulicy, że mosiężne klamki ukręcał, że z jakimś żołnierzem zrobił awanturę w szynku... Panu Anzelmowi aż włosy na głowie stanęły, gdy porównał mały wzrost ulicznika z ogromem jego występków!

Skutkiem tego, robotnik, stara kobieta, komisyoner i stójkowy, którzy znaleźli ulicznika, odeszli z kwitkiem.

Prawie w tej samej chwili przyniesiono panu Anzelmowi dwie wiadomości. Pierwszą, że poczciwy Jędruś, terminator Durskiego, oskarżony o okradzenie majstra, zajął już w ratuszu lożę *obywatelską* od strony Danielewiczowskiej ulicy. Druga wiadomość była gorsza: ktoś bowiem doniósł, że Jaś musiał się utopić, ponieważ w tym czasie, kiedy pękły lody na Wiśle, słyszano wielki krzyk.

Na prośbę pana Anzelma, celem sprawdzenia wieści rozesłano telegramy na wszystkie strony miasta i otóż okazało się: że lody na Wiśle pękły między Warszawą i Pragą i że o tej samej porze usłyszany krzyk ów nie pochodził z ust topiącego się Jasia, ale z piersi niejakiej Magdaleny Robaczek, pobitej przez męża Walentego Robaczek, wyrobnika, który odznaczał się zamiłowaniem w nietrzeźwości.

Gdy już wszelkie wątpliwości rozjaśnione zostały w zadawalniający sposób i gdy podejrzanego o morderstwo Antka zamknięto w kozie, zdesperowany szlachcic opuścił ratusz i bez celu tułał się kilka godzin po ulicach. Przeszedł Stare Miasto, był na Nowym Zjeździe, zwiedził Warszawski brzeg Wisły, bez myśli zaglądając do rozrzuconych tam lepianek, a wreszcie około szóstej wieczorem zawrócił do hotelu. Myślał on już nazajutrz jechać do domu, gdzie go pilne interesa wzywały i szedł leniwym krokiem, smutny, ze zwieszoną głową, powtarzając w duchu stare przysłowie:

— Chłop strzela, a pan Bóg kule nosi!..

Miał racyę! i gdyby w tej chwili uważniej spojrzał dokoła siebie, dostrzegł by niezawodnie wynędzniałego w łachmanach i pomiętoszonym garybaldyjskim kapeluszu chłopczynę, który drepcząc nogami i chuchając

w kostniałe ręce, zabiegał mu to z prawej, to z lewej strony i zaglądał w oczy z wyrazem nieopisanego niepokoju.

Ale pan Anzelm nie uważał tego i zamyślony wciąż szedł dalej. Wyminął kilka ulic, dotarł wreszcie do hotelu, wdrapał się chwiejnym krokiem na schody i otworzył swój numer.

W chwili, gdy zapaliwszy świecę, zwrócił się ku otwartym drzwiom, aby je przymknąć, zobaczył nagle jakąś kupkę łachmanów, które padły na ziemię i oplątały mu nogi. Jednocześnie uczuł, że mu ktoś całuje kolana i wśród jęku i szlochań usłyszał wyrazy:

— Panie mój!... panie!..

Szlachcicowi serce bić ustało. Porwał dziecko w objęcia podniósł je do góry, przypatrzył się jego mizernej twarzyczce i ogromnym głosem zawołał:

— O niedobre dziecko, ileż ty mi zmartwienia narobił!..

Potem puścił chłopca, zasłonił twarz rękoma i wybuchnął tak wielkim płaczem, jakby chciał temi serdecznemi łzami obmyć wszystkie winy przodków i swoje własne.

Jaś to był w rzeczy samej, obdarty, zmęczony i głodny. Lecz kto go aż tu doprowadził?... Ten, który budził kwiaty i pszczoły na wiosnę, który odlatującym bocianom i jaskółkom wskazuje najkrótszą i niezawodną drogę!

. . . .

Poruszywszy nadaremnie wszystkie sprężyny, obiegłszy bez skutku całe miasto, Panewka, zaraz na drugi dzień po Nowym Roku, zmienił nagle system. Uwierzył w to, że Jaś nie żyje i przestał go już szukać, lecz natomiast zaczął straszliwie pić. Świat mu zbrzydł, chciał więc z nim skończyć rachunki, a przedewszystkiem puścić resztę pieniędzy i rzeczy.

Ponieważ od kilku dni stracił apetyt i oka nie zmrużył, fizycznie więc stał się podobnym do suchotnika, moralnie do szaleńca. Był to człowiek bez ratunku zgubiony; wielka miłość do Jasia podniosła go nad zwykły poziom, ucieczka zaś sieroty zepchnęła w przepaść, z której cudem tylko mógł się wydobyć.

A cud ten wisiał na włosku.

3-go stycznia, jeden z terminatorów Durskiego, spotkał Panewkę na ulicy w stanie opłakanym. Czeladnik był brudny, obdarty i pijany tak, że się ledwie na nogach trzymał.

— Co panu jest?.. — krzyknął zdumiony chłopiec, ujrzawszy go.

— Idź do dyabla!.. — mruknął Ignacy rzucając na niego spojrzenie, w którem już nic ludzkiego nie było.

— A wie pan, że Jaś się wczoraj znalazł?...

— Co ty gadasz?...

— A tak, znalazł się i jest u jednego szlachcica, w hotelu Polskim — odparł terminator.

Panewce zabłyszczały oczy. Otrzeźwiał, wyprostował się i pobiegł pędem do hotelu, a spotkawszy przed bramą szwajcara, rzucił się do niego z zapytaniem:

— Gdzie Jaś?.. gdzie ten chłopiec, co to go wziął jakiś szlachcic?..

— A acanu co do niego?...

— Powiedźcie gdzie on?.. — błagał Panewka, chwytając szwajcara za rękę.

— Już wyjechali na pocztę z tym panem! — odparł obrażony oficyalista, chcąc jak najprędziej uwolnić się z gwałtownych uścisków niezwykłego interesanta.

Czeladnik pędem ruszył przez ulicę Miodową. Gdy wszedł na Kozią usłyszał za sobą dźwięk trąbki. Obejrzał się... W tej chwili przejechała pocztowa kareta, w głębi której zobaczył bladą twarz Jasia.

Teraz Ignacy zebrał wszystkie siły i począł biedz cwałem; odtąd już odległość między nim i ciężkim powozem nie zwiększała się, w każdym jednak razie wynosiła kilkadziesiąt kroków.

— Nie dognam go! — mruknął Panewka czując że lada chwilę padnie. Przy pomoście, z powodu ścisku, kareta zwolniła bieg. Panewka zbliżył się do niej już na kilkanaście kroków i z całej mocy zawołał:

— Jasiu!.. Jasiu!..

— Nie potrzebno krzyczeć po ulicy! — ostrzegł go jakiś głos urzędowy.

Czeladnik wpadł na most i przez kilkanaście sekund pędził jeszcze wołając:

— Jasiu!... Jasiu!...

Nagle kareta ruszyła prędzej. Panewka stracił siły, i zziajany, zrozpaczony, stanął i patrzył już tylko na oddalający się powóz. Potem zwolna przelazł przez kratę i zbliżył się do poręczy mostu.

— Nawet nie spojrzał na mnie... — szepnął rozżalony.

W tej chwili, stojący na warszawskim brzegu Wisły, ujrzeli szczególne widowisko. Jakiś czarny przedmiot wychylił się za baryerę, a następnie z ogromną szybkością runął w wodę.

Powstał ruch i hałas.

— Bywaj!.. czółna dawajcie!... — zawołano z wybrzeża.

Tymczasem kra zmiażdżyła i woda zalała już martwe ciało Panewki.

On także był sierotą, mniej szczęśliwym od innych.

Koniec.

Myśliwi.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To tak mocium panie było:
Prawdziwa myśliwska sztuka,
Polowaliśmy z naganką,
Na lisa i na borsuka.
Ja stanąłem nad polanką,
I tak ci wycelowałem,
Że ubijam jednym strzałem,
Lisa, i kulą do płota
Przygważdżam za ogon kota.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Byłoż panie dziwu, było!
Raz, zmrokiem, patrzę, na grzędzie,
Coś siedzi, okrągłe główki...
Dwanaście kuropatw w rzędzie.
Pakuję stempel do lufki,
Podchodzę z boku ostrożnie,
Paf! i ptaki jak na rożnie,
Na stemplu; choć smaż u pieca.
To mi się nazywa heca!

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
W zimie, na dziki to było;
Wytropiliśmy dwa stada.
Jeden warchlak, jak szalony,
Pod nogi mi panie wpada.
Ja byłem trochę zmęczony,
Przysiadam mu więc na grzbiecie,
Ten rusza, i co powiecie,
Podwiózł mnie prawie do dworu
Daję wam słowo honoru.

Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
Nie pamiętam gdzie to było,
Dość że szliśmy na niedźwiedzie,
Sądzili panie, że zginę;
Bestya prosto na mnie jedzie,
I łapami za czuprynę!
Myślę, co on mnie dotyka!
Jak wytnę mu w sam nos byka,
Aż fajtnął na środek drogi,
Ogon pod siebie i w nogi.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To już prawie cudem było!
Obnosili mnie jak króla;
Pogłupieli z zadziwienia.
Jedna panie moja kula
Wierci na wylot jelenia,
Z jelenia wpada na zająca,
Wypadłszy, na śmierć potrąca
Dwie sarny i lisów kilka,
Wreście grzęźnie w pysku wilka.

— Eh! mnie lepiej się zdarzyło!
To dopiero pięknie było!
Polowaliśmy z obławą.
Słucham — była wielka susza, —
W krzakach coś szeleści trawą
I najwyraźniej się rusza.
Wnet poznałem zwroty dzika;
Bęc! bęc! Ot co jest praktyka!
Trafiłem w sam łeb sąsiada,
W dwie panie baby i w dziada.

M. Rodoć.

Piosnka Nemezy.

(z nad Newy)

Widziałam w więzach biedny lud,
Sromotnie zdeptan nogą, —
Widziałam, jak mu podły zbir
Piętnował skroń ostrogą.

Widziałam, jak się stepem wlókł
Tłum bladych posieleńców, —
Widziałam — ach — szubienic las,
I trupy rozstrzeleńców.

Widziałam świętokradzką dłoń,
Co gnała lud do jatek, —
Widziałam wojny krwawy plon,
I niemą rozpacz matek.

Widziałam zgliszcza miast i siół,
I łun pożarnych blaski; —
Słyszałam wdów i sierót jęk,
I głodnych kruków wrzaski.

Widziałam szał pijanych styp,
Gdzie strugą wino ciekło,
I głód — co własne pięści gryzł,
I całe carskie piekło!...

A więc zerwałam się jak lew,
Niesiona wichrem sromu,
I wołam lud na straszny sąd,
Od domu mknąc do domu.

Jak długoż będzie jeszcze trwać
Haniebna wasza męka?
Nie macież w żyłach waszej krwi?
Bezwładnaż wasza ręka?!

Na sąd, na sąd, na straszny sąd!
Tyranów wszeteczeństwa! —
Niech pomści nóż — zhańbiony w was
Majestat człowieczeństwa!

Na sąd, na sąd, na straszny sąd;
Godzina zemsty bije!
Niech sycylijski zabrzmi dzwon!
Ja żyję.... żyję.... żyję!...

Ja żyję!... Brzemię waszych krzywd
Zważyłam już na szali!
Na imię mi Nemezis jest!...
— Dalej, rebiata, dalej!...

Włodzimierz Zagórski.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ XIX.

W którym zapisane są minuta po minucie uczucia i wrażenia balonowych podróżników.

Mongolfierka podniosła się do wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów. Porucznik Prokop postanowił utrzymać ją w tym pasie powietrznym. Na kracie z drutów żelaznych, zawieszonej pod przyrządem, leżała trawa sucha, którą z łatwością można było zapalić i utrzymać wewnętrzne powietrze w takim stanie rozrzadzenia, jaki był potrzebny, aby mongolfierka nie opadała.

Podróżnicy, siedzący w łodzi, spoglądali w dół, w górę, do koła siebie.

Pod nimi szeroko rozściągało się morze galickie, które zdawało się tworzyć wklęsłą sadzawkę. Na północy widać było samotną wyspę Gurbi.

Nadaremnie szukano na zachodzie wysepek Gibraltaru i Ceuty. Znikły one.

Na południu wznosił się wulkan, panujący nad wybrzeżem i obszernem terytoryum Ziemi Gorącej. Ten półwysep przytykał do lądu, otaczającego morze galickie. Wszędzie ten dziwny widok, ten połysk metaliczny, łamiący się pod promieniami słońca. Wszędzie ta sama materya mineralna, połączenie złota z tellusem, która zdawała się stanowić jedyny budulec komety, twardego jądra Gallii.

Dokoła łodzi, nad horyzontem, który zdawał się wydźwigać w miarę podnoszenia się mongolfierki, roztaczało się nadzwyczaj czyste niebo. Ale ku północno-zachodowi, w stronie przeciwnej od słońca, grawitowało nowe ciało niebieskie, mniejsze niż gwiazda, mniejsze niż asteroida,—coś jakby w rodzaju bolida. Był to odłamek Gallii, który siła wewnętrzna z jej biodr wyrwała. Ten olbrzymi blok oddalał się, obrawszy sobie nową linię drogi i był już odległy o wiele tysięcy mil. Mało był zresztą widoczny; ale gdy noc nadeszła ukazywał się w przestrzeni jako punkt świecący.

Wreszcie nad łodzią, trochę ukośnie, ukazywała się tarcza ziemska w całej swej okazałości. Zdawała się spuszczać na Gallię i zakrywała znaczną część nieba.

Ta tarcza, wspaniale oświecona, olśniewała oczy. Odległość, względnie biorąc, była już zanadto małą, aby można było naraz rozróżniać dwa bieguny. Gallia była już dwa razy bliższą ziemi od księżyca w jego przeciętnej odległości; odległość między kometą a ziemią zmniejszała się co minuta w ogromnej proporcyi. Rozmaite plamy świeciły na powierzchni ziemi, jedne błyszczące, to były lądy, drugie ciemnejsze, dla tego, że pochłaniały promienie słoneczne, to były oceany. Ponad tem przesuwały się wielkie pasy białe, ciemne na odwrotnej stronie; były to obłoki rozrzucone w atmosferze ziemskiej.

Ale wkrótce, dzięki szybkości dwudziestu dziewięciu mil na sekundę, widok tarczy ziemskiej, trochę nie wyraźny, zaczął się lepiej zarysowywać. Wystąpiły szerokie obwódki nadbrzeżne, uwydatniło się jaśniej uwarstwowanie lądu. Można już było odróżniać góry od dolin. Z karty płaskiej zaczęły wychodzić nierówności i obserwatorom w łódce zdawało się, że są pochyleni nad kartą z wypukłościami.

O godzinie drugiej minut dwadzieścia siedm rano kometa był już tylko o trzydzieści tysięcy mil od ziemskiego sferoidu. Dwa te ciała niebieskie leciały ku sobie. O godzinie drugiej trzydzieści pięć minut, pozostawało jeszcze tylko piętnaście tysięcy mil do przebycia.

Wszelkie linie tarczy wyraźnie się już wówczas zarysowały i trzy okrzyki wyrwały się z ust porucznika, hrabiego i kapitana Servadac:

— Europa!

— Rosya!

— Francya!

I nie mylili się. Ziemia obróconą była ku Gallii tą stroną, w której rozciągał się ląd europejski, oświecony południowem słońcem. Konfiguracyę każdego kraju łatwo można było rozpoznać.

Wędrowcy powietrzni z wielkiem wzruszeniem spoglądali na ziemię gotową ich pochłonąć. Myśleli oni tylko o dostaniu się na ziemię, ale nie o niebezpieczeństwach tego dostania się.

Tak, to widocznie Europa rostaczała się przed ich oczyma! Widzieli rozmaite jej państwa z dziwną konfiguracyą, którą im dała natura, lub między-narodowe układy.

Anglia, to lady idąca na zachodnią stronę, w sukni o fałdach wiatrem poskręcanych, z głową ustrojoną w wyspy i wysepki.

Szwecya i Norwegia, wspaniały lew, z rozwiniętą grzywą gór na grzbiecie rzucający się na Europę w okolicach hyperborejskich.

Rosya, olbrzymi niedźwiedź polarny, z głową zwróconą ku lądowi azyatyckiemu, lewa łapa oparta na Turcyi, prawa na Kaukazie.

Austrya, wielki kot zwinięty w kłębek i drzemiący snem niespokojnym.

Hiszpania, jak pawilon na końcu Europy, przy którym Portugalia zdaje się formować yacht.

Turcya, jak kogut, jedną łapą wdrapujący się na wybrzeże azyatyckie, drugą przyciskający Grecyę.

Włochy, to but elegancki i cienki, który zdaje się bawić podrzucaniem Sycylii, Sardynii i Korsyki.

Prusy, straszliwa siekiera głęboko zanurzona w cesarstwo niemieckie, a która ostrzem zawadza o Francyę.

Francya nakoniec, silny tors, z Paryżem w sercu.

Tak, wszystko to można było widzieć jeszcze! Każda pierś przepełniona była wzruszeniem. A przecież komiczna nuta zabrzękła wśród tego ogólnego wzruszenia.

— Montmartre! — zawołał Ben-Zuf.

I nie należało dowodzić ordynansowi kapitana Servadac, że nie mógł z tak daleka dojrzeć swego ulubionego wzgórza!

Co się tyczy Palmiryna Rosette, to ten, wychyliwszy głowę za krawędź łodzi, wlepiał wzrok swój w opuszczoną Gallię, która się unosila o dwa tysiące pięćset metrów pod nim. Nie chciał on nawet patrzeć na ziemię, która go przywoływała do siebie, i obserwował tylko swego kometę, żywo oświeconego w powszechnej irradyacyi przestrzeni.

Porucznik Prokop, z chronometrem w ręku, liczył minuty i sekundy. Ognisko, od czasu do czasu podsycane z jego rozkazu, utrzymywało ciągle mongolfierkę w należytej strefie.

Wszakże w łodzi mało mówiono. Kapitan Servadac i hrabia chciwie spoglądali na ziemię. Mongolfierka, w stosunku do ziemi, znajdowała się trochę z boku, ale z tyłu za Galią. tak że kometa miał przedtem niż balon zetrzeć się z ziemią — okoliczność korzystna, gdyż tym sposobem balon, wślizgując się w atmosferę ziemską, narażony był na mniejsze niebezpieczeństwa.

Ale gdzie miał upaść?

Czy na ląd? A w takim razie, czy ten ląd dawał jakieś środki do życia? Czy łatwą mogła być ztamtąd komunikacya z zamieszkaną częścią globu?

Czy na morze? A w takim razie, czy można było liczyć na cud, że zjawi się jakiś okręt i ocali rozbitków?

Ileż niebezpieczeństw z każdej strony i czyż hrabia nie miał słuszności, gdy mówił, że i on i towarzysze jego są całkowicie w ręku Boga?

— Druga godzina minut czterdzieści dwie — powiedział porucznik wśród powszechnego milczenia.

Jeszcze pięć minut trzydzieści pięć sekund i dwa ciała niebieskie uderzą się o siebie!... Były odległe od siebie jeszcze przynajmniej o ośm tysięcy mil.

Porucznik Prokop zauważył wówczas, że kometa dążył ku ziemi w kierunku nieco ukośnym. Dwa te ciała nie biegły ku sobie po jednej linii. Wszakże należało spodziewać się, że nastąpi nagłe i zupełne zatrzymanie komety, a nie otarcie się tylko, jak to było dwa lata temu. Jeżeli Gallia nie mierzyła prostopadle w glob ziemski, to przynajmniej zdawało się, „że mocno przylepnie do niego“ — mówił Ben-Zuf.

Ostatecznie gdyby żaden z powietrznych wędrowców nie miał przeżyć tego spotkania, gdyby mongolfierka pochwycona wirami atmosferycznymi, w chwili zmięszania się dwóch atmosfer, została porwaną i rzuconą na ziemię, gdyby żaden z tych Galijczyków nie miał wrócić pomiędzy swoich bliźnich, czyż wszelkie wspomnienie o nich, o ich przejściu na kometę, o ich wędrówce po świecie słonecznym miało pójść w wieczne zapomnienie?

Nie! kapitan Servadac powziął pewną myśl. Wydarł kartkę ze swojej książeczki notatkowej. Na tej kartce wypisał nazwisko komety, nazwiska części globu ziemskiego, które kometa uniosła, potem nazwiska swoich towarzyszy, a pod tem wszystkiem położył swoje nazwisko.

Potem zażądał od Niny wędrownego gołąbka, którego ona trzymała, przyciskając do piersi.

Ucałowawszy go czule, mała dziewczyna bez wahania oddała swego gołąbka.

Kapitan Servadac wziął ptaka, przywiązał mu kartkę do szyi i puścił w powietrze.

Gołąbek zleciał, kołując, w atmosferę galicką i trzymał się w powietrzu niżej od mongolfierki.

Jeszcze dwie minuty i około trzech tysięcy dwustu mil! Dwa ciała niebieskie miały się spotkać z sobą z szybkością trzy razy większą od tej, z jaką się ziemia porusza wzdłuż ekliptyki.

Nie potrzebujemy dodawać, że wędrowcy balonowi nie czuli bynajmniej tej straszliwej szybkości, i że ich przyrząd zdawał się tkwić nieruchomie wśród atmosfery, która go unosiła.

— Godzina druga czterdzieści sześć minut— powiedział porucznik Prokop.

Odległość już zmniejszyła się do 1700 mil (lieues). Ziemia zdawała się wydrążać, jak ob-

szerny lejek, nad kometą. Możnaby rzec, że się otwierała na jej przyjęcie.

— Godzina druga minut czterdzieści siedm, — powiedział raz jeszcze porucznik.

Zostawało już tylko trzydzieści pięć sekund i sześć dziesiątych a szybkość wynosiła dwieście siedmdziesiąt mil na sekundę.

Nareszcie dało się uczuć jakieś drżenie. To ziemia pociągała ku sobie powietrze galickie, a wraz z niem mongolfierkę, która się tak wydłużyła, jakby miała pęknąć.

Wszyscy przestraszeni, przerażeni, czepili się brzegów łodzi...

Dwie atmosfery zmięszały się. Utworzył się olbrzymi kłąb obłoków. Nagromadziły się wyziewy. Nasi podróżnicy nie widzieli już nic, ani pod sobą, ani nad sobą. Zdało się im, że olbrzymi płomień ich otaczał, że zabrakło im punktu oparcia pod nogami, i nie wiedząc jakim sposobem, nie mogąc sobie tego wytłómaczyć, znaleźli się na gruncie ziemskim. W omdleniu opuszczali ziemię, w omdleniu powracali na nią.

Z balona nie zostało ani śladu.

W tym samym czasie Gallia umykała ukośnie po linii stycznej i otarłszy się tylko w brew wszelkim przewidywaniom o glob ziemski, znikła w zachodniej stronie świata.

ROZDZIAŁ XX.

Który wbrew wszelkim prawidłom romansu nie kończy się małżeństwem bohatera.

— Ach, mój kapitanie, to Algier!

— I Mostaganem, Ben-Zufie!

Te dwa wykrzykniki wyrwały się naraz z ust kapitana i jego ordynansa, gdy wraz z towarzyszami swymi odzyskali przytomność.

Cudem jakimś, jak wszystkie cuda niewytłómaczonym, byli zdrowi i cali.

„Mostaganem, Algier!“ — powiedzieli kapitan Servadac i jego ordynans — i nie mogli się omylić oni, którzy przez wiele lat stali załogą w tej części prowincyi.

Powracali więc prawie na to samo miejsce, zkąd byli porwani, powracali po dwuletniej podróży po świecie słonecznym.

Dziwny przypadek — jeżeli to był przypadek — ziemia bowiem i Galia spotkały się w tej samej sekundzie, w tym samym punkcie ekliptyki — sprowadzał ich do miejsca ich odjazdu.

Znajdowali się mniej jak o dwa kilometry od Mostaganem.

W pół godziny potem kapitan Servadac i wszyscy jego towarzysze wchodzili do miasta.

Musiało to ich bardzo dziwić, że wszystko na powierzchni ziemi zdawało się spokojnem. Ludność algierska spokojnie się oddawała swoim zajęciom zwyczajnym. Zwierzęta, niczem nie spłoszone, gryzły trawę nieco wilgotną od rosy styczniowej. Musiało być koło godziny ósmej rano. Słońce wschodziło na swoim zwykłym horyzoncie. Nie tylko nie widać było, aby coś anormalnego stało się na globie ziemskim, ale i nie widać było, aby mieszkańcy oczekiwali byli czegoś niezwyczajnego.

— Ach tak — powiedział kapitan Servadac — nie byli więc uprzedzeni o przybyciu komety?

— Należy tak myśleć, mój kapitanie — odpowiedział Ben-Zuf. — A ja się spodziewałem tryumfalnego wejścia!

Najwidoczniej nie oczekiwano starcia się z kometą. Inaczej, byłaby nadzwyczajna panika we wszystkich częściach globu, i mieszkańcy jego czuliby się bliżsi końca świata, jak w r. 1000!

U bramy Mascara kapitan Servadac spotkał dwóch swoich kolegów, dowódcę drugiego pułku strzelców i kapitana ósmego pułku artyleryi. Literalnie rzucił się w ich ramiona.

— Pan, Servadac! — zawołał komendant.

— Ja sam!

— I zkąd powracasz, mój biedny przyjacielu, po tem nie wytłómaczonem zniknięciu?

— Powiedziałbym ci chętnie, mój komendancie, ale jak ci powiem, to mi nie uwierzysz.

— Jednakże...

— Ba! moi przyjaciele! Uściśnijcie dłoń towarzysza, który o was nie zapomniał, i dajmy na to, że ja śniłem tylko!

I Hector Servadac pomimo nalegań nie chciał nic więcej powiedzieć.

Wszelako zadał jeszcze jedno pytanie dwom oficerom:

— A pani de...?

Komendant strzelców, zrozumiawszy o co chodzi, nie dał mu dokończyć.

— Wyszła za mąż, powtórnie wyszła, mój kochany! — powiedział. — Cóż chcesz? Nieobecni są zawsze winni.

— Tak — odpowiedział kapitan Servadac — winni, że przez dwa lata błądzili w krainie urojeń!

Potem zwracając się do hrabiego:

— Mordioux, panie hrabio — powiedział — czy słyszałeś! Doprawdy, jestem bardzo rad, że nie potrzebuję bić się z panem.

— A ja, kapitanie, jestem bardzo szczęśliwy, że mogę zupełnie szczerze i serdecznie uścisnąć ci rękę!

— Kontent jestem także — pomruknął Hektor Servadac — że nie skończyłem tego szkaradnego ronda!

I dwaj współzawodnicy, którzy już nie mieli powodu do współzawodnictwa, podając sobie rękę, zapieczętowali przyjaźń, której nic już nie miało zerwać.

Hrabia, zgodnie ze swoim towarzyszem równie ostrożnie wyrażał się o nadzwyczajnych wypadkach, których byli świadkami, a z których odjazd ich i przyjazd najmniej się dawał wytłómaczyć. Najbardziej sobie tego nie mogli wytłómaczyć, że na wybrzeżu morza Śródziemnego wszystko było na swojem miejscu.

Z pewnością, lepiej było zamilczeć o wszystkiem.

Nazajutrz mała kolonia rozdzieliła się, Rosyanie z hrabią i porucznikiem Prokopem powrócili do Rosyi, a Hiszpanie do Hiszpanii, gdzie wspaniałomyślność hrabiego miała ich na zawsze zabezpieczyć od niedostatku. Wszyscy ci poczciwcy żegnali się z sobą, osypując się wzajem oznakami najszczerszej przyjaźni.

Co się tyczy Izaaka Hakhabuta, to ten, zrujnowany utratą *Hanzy* i pozostawieniem na komecie złota i srebra, znikł gdzieś bez wieści. Prawda nakazuje wyznać, że nikt się nie upominał o niego.

— Stary łotr — powiedział pewnego razu Ben-Zuf — musi się pokazywać w Ameryce jako upior wracający ze świata słonecznego!

Pozostaje kilka słów o Palmirynie Rosette. Jego, jak to łatwo się domyśleć, żaden wzgląd nie mógł skłonić do milczenia. Więc mówił!... Zaprzeczono istnienia jego komety, którego żaden astronom nie był dostrzegł na horyzoncie ziemskim. Nie był też on zapisany w katalogu rocznika astronomicznego. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia doszła wówczas wściekłość gniewliwego profesora. We dwa lata po powrocie wydał gruby memoryał, zawierający w sobie obok elementów Gallii opowiadanie własnych przygód Palmiryna Rosette.

Wówczas w uczonej Europie podzieliły się zdania. Jedni, w wielkiej liczbie, byli przeciw. Drudzy, w małej liczbie, za astronomem.

Pewna odpowiedź na ten memoryał — a była to prawdopodobnie najlepsza odpowiedź, jaką można było wymyśleć — sprowadziła całą pracę Palmiryna Rosette do należytych rozmiarów, dając jej tytuł: *Historya pewnej hypotezy.*

Ta impertynencya do najwyższego stopnia oburzyła Palmiryna Rosette, który utrzymywał, że widział powtórnie w przestrzeni nie tylko Gallię, ale i odłamek komety, który unosił trzynastu Anglików w nieskończoności świata gwieździstego! Nigdy nie mógł tego odżałować, że nie został ich towarzyszem podróży!

Nakoniec Hektor Servadac i Ben-Zuf, odbyli czy nie odbyli w rzeczywistości tę nieprawdopodobną wędrówkę po świecie słonecznym, pozostali przecież jeden kapitanem, drugi ordynansem, których nic bardziej niż kiedykolwiek rozdzielić nie mogło.

Pewnego dnia przechadzali się z sobą po wzgórzu Montmartre i pewni, że ich nikt nie podsłuchuje, rozmawiali z sobą o swoich przygodach.

— Może tego wszystkiego nie było! — powiedział Ben-Zuf.

— Mordioux, w końcu i ja w to uwierzę! — odpowiedział kapitan Servadac.

Co się tyczy Pabla i Niny, z których pierwszy był adoptowany przez hrabiego, a druga przez kapitana Servadac, to wychowywali się oni pod kierunkiem swoich przybranych ojców.

Pewnego pięknego dnia pułkownik Servadac, którego włosy zaczynały już siwieć, ożenił młodego Hiszpana, z którego zrobił się piękny chłopiec, z małą Włoszką, która wyrosła na piękną dziewczynę. Hrabia sam chciał przywieść posag dla Niny.

Po tem wszystkiem młodzi małżonkowie, choć nie zostali Adamem i Ewą nowego świata, byli przeto nie mniej szczęśliwi.

KONIEC
drugiej i ostatniej części.

FONOGRAF MÓWIĄCY
EDISONA.

Najgenialniejszy, a mimo to najprostszy z wielkich wynalazków naszego wieku, zdobył sobie w krótkim czasie tak wielką sławę, i tyle się nim zajmowano, że nie potrzebujemy tu wdawać się w ogólnikowe opisy, i możemy przejść bez przedmowy do szczegółowego opisu historyi, działalności i doniosłości tego zadziwiającego przyrządu.

Wynalazek ten wypadł w chwili, kiedy cały świat naukowy był zajęty telefonem, i chociaż ten poprzednik fonografu olbrzymią zrobił sensacyą swą oryginalnością i niezmierną prostotą, to jednak przyrząd do pisania i do mówienia jeszcze z większym entuzyazmem był przyjęty. Gdy go przedstawiano paryskiej Akademii nauk, i gdy z niewielkiego przyrządu usłyszano wydobywające się słowa: „fonograf uważa sobie za

zaszczyt być przedstawionym Akademii umiejętności," całe audytoryum z poważnych akademików złożone, wybuchło entuzyastycznymi oklaskami.

I nic w tem nie ma dziwnego, bo cóż może na nas zrobić większe wrażenie nad to, które otrzymujemy, słysząc jak mała blaszka żelazna w fonografie powtarza głosem ludzkim, z wszystkiemi modulacyami, co przedtem doń mówiono, i powtarza to tyle razy, ile razy się nam podoba.

Historya fonografu jest bardzo krótka. Wynalazca p. Tomasz Edison, jest jednym z najbardziej wynalazczych ludzi na świecie. Cały szereg ważnych w praktyce i nauce wynalazków nosi jego miano. Dość nam przypomnieć jego sposób słynny przesyłania naraz kilku depesz telegraficznych po jednym drucie, jego telefon do przesyłania tonów, dalej jego ulepszenie telefonu Bella, przez zastosowanie prądu z bateryi i zmiennego przewodnictwa grafitu, a wreszcie i słynne teraz pióro elektryczne do kopiowania. Amerykanie zdołali ocenić i zużytkować te zdolności wynalazcze Edisona w sposób im właściwy. Utworzyła się kompania, która płaci pensyę Edisonowi, a ten nie ma nic innego do roboty, jak tylko myśleć nad wynalazkami. Kompania wyrabia sama patenty dla wynalazków, i sama je zużytkowuje, dając Edisonowi umówioną dywidendę.

Otóż najlepszym owocem takiej pracy, skierowanej w kierunku wynalazczym, jest właśnie fonograf, którego bezpośrednim poprzednikiem i nawet powodem do odkrycia było wspomniane już przez nas pióro elektryczne, o którem kilka słów nam tu przytoczyć wypada.

Wyobraźmy sobie ołówek, w którym zamiast grafitu jest zwykła igła stalowa, mogąca się w tył i naprzód poruszać, wyskakiwać z ołówka i chować się do jego wnętrza. Wyobraźmy sobie na drugim końcu ołówka małą maszynkę elektrodynamiczną, poruszaną za pomocą stosu, która wprowadza igłę w szybki ruch, wysuwając ją z ołówka i chowając napowrót. Ruch ten w piórze Edisona jest nadzwyczaj szybkim (sto kilkadziesiąt razy na sekundę), tak że go okiem dojrzeć prawie nie można. Otóż jeżeli tą igłą zaczniemy pisać po papierze jakiekolwiek znaki, i potem wystawimy papier przed światło, to ujrzymy nasze znaki jako figury przejrzyste, utworzone z szeregu dziurek, bardzo blisko od siebie leżących. Jeżeli taki przedziurawiony papier położymy na innym czystym, i przejedziemy po wierzchu wałkiem z farbą, to otrzymamy na dolnym papierze dokładną kopię tego, cośmy poprzednio piórem Edisona pisali, farba przeciśnie się przez dziurkę i zostawi ślad na czystym papierze; tego rodzaju operacyą powtórzyć możemy kilkadziesiąt razy.

Gdy Edison siedział nad swojem piórem, wpadła mu myśl następująca, która go zrobiła jednym z największych wynalazców na świecie. Przyszło mu na myśl przytwierdzić ową igłę, którą w piórze elektrycznem używał prostopadle do środka napiętej błony. Taka błona drży, jeśli się do niej mówi, i naturalnie, wprawia jednocześnie w drganie przymocowaną do niej igłę. Drgania tej igły i drgania błony odpowiadają najzupełniej drganiom mowy; jeżeli więc, myślał Edison, będzie podczas mówienia przesuwał pod igłą kawałek papieru, to wszystkie drgania igły odbiją się na papierze wkłuwając się doń mniej lub więcej głęboko. W ten sposób na pasku papierowym wszystkie ruchy igły mogą być zanotowane.

Jeżeli zaś znowu taki papierek przesuwać będziemy pod igłą, tak że będzie musiał wskakiwać do zagłębień, poprzednio przez siebie zrobionych, to zacznie drgać, a razem z nią błona, i to zupełnie w ten sposób jak to igła i błona czyniła poprzednio podczas mówienia, a więc będzie powtarzać to, co do niej poprzednio mówiono.

Pod wpływem tej myśli Edison wziął się do doświadczeń, które wykazały mu, iż urzeczywistnienie jej jest możliwem, i po kilkumiesięcznych próbach *fonograf* zjawił się w formie, którą ma obecnie, i która swą niezmierną prostotą świat cały zadziwia.

Dla wyjaśnienia działalności fonografu, musimy tutaj zboczyć na chwilę w dziedzinę akustyki, i przypatrzeć się, jakie ruchy odbywa igła, gdy mówimy do blaszki, na której jest ona umocowaną.

Zacznijmy od rzeczy najmniej skomplikowanych i przypuśćmy, iż przez chwilę mówimy, a raczej śpiewamy do blaszki zwykłą samogłoskę *a* w jakimbądź tonie. Koniec igły zacznie drgać razem z blaszką i drgania te będą regularne tak, że jeżelibyśmy przesuwali szybko pod igłą kawałek szkła zakopconego, to otrzymalibyśmy jako rysunek jasny, na tle ciemnem, długą falistą linię, z której z łatwością powziąć moglibyśmy wyobrażenie, jakie ruchy koniec igły odbywał. Jeżeli więc zamiast szkła, będziemy prostopadle do igły przesuwali, podczas wygłaszania litery *a*, kawałek papieru, to igła zrobi rowek w papierze, którego dno będzie zazębione, i będzie miało kształt falisty, jak owa linia na szkle zakopconem narysowana.

Przypuśćmy teraz, że mamy już papierek, poddany tego rodzaju operacyi, na którym litera *a* przedstawia się nam jako długa linia falista, wgłębiona w kształcie rowka o chropowatem dnie do papieru, i że ustawiwszy naszą igłę na początku tego rowku, przesuwamy nasz papierek tak, że igła zmuszoną jest iść wzdłuż tego rowka. Wtedy zniżać się ona będzie i opadać stosownie do zazębień i jeżeli będziemy papierek przesuwać z tą szybkością co i poprzednio, to igła, a z nią razem i błona odbywać będzie zupełnie te same ruchy, co podczas mówienia litery *a*, a więc też i *będzie zmuszoną do wymówienia tejże samej samogłoski* a.

Przejdźmy teraz do przykładu trochę więcej skomplikowanego. Mówmy słowo: *aba;* jeżeli i w tym wypadku użyjemy do zanotowania ruchów igły szkła zakopconego, to ujrzymy po operacyi na niem, naprzód kawałek dość regularnej linii falistej odpowiadającej samogłosce *a*, dalej nieregularną zygzakowatą wyszczerbioną linię, odpowiadającą literze *b* i wreszcie znowu falistą linię odpowiadającą *a*. Ustawiwszy igłę prostopadle do papieru, otrzymamy podobną krzywą, lecz już nie narysowaną poziomo, lecz zagłębioną do papieru. Taki papier zawiera w sobie wszystkie elementa, wchodzące w skład słowa *aba*, i jeżeli go przesuniemy pod igłą, to będzie się ona tak ruszała, jak wtedy gdy do blaszki mówiono *aba*, i blaszka powtórzy te trzy litery w porządku, w którym je przedtem wypowiedziano.

Mamy tu przed sobą dwie funkcye, wzajemnie się uzupełniające. Podczas pierwszej operacyi, podczas notowania głosu na papierze, rozbieramy go na pojedyncze części, na pojedyncze drgania, robimy po prostu analizę tego głosu, i każdy jego element notujemy, jako zagłębienie na papierze. W drugiej operacyi, kiedy z blaszki wywołujemy dźwięki na nowo, idziemy drogą wprost przeciwną. Robimy wtedy syntezę tych pojedynczych elementów. Łączymy je w jedną całość w takim zupełnie porządku, w jakiśmy je rozdzielili.

W sposób wyżej opisany, każda samogłoska, każda spółgłoska, każdy w ogóle dźwięk w przyrodzie, odbija się na przesuwanym papierze jako mniej lub więcej regularna falista linia, której zazębienia i wykrzywienia zmieniają się odpowiednio do dźwięku. Każdy dźwięk ma swoją oryginalną i charakterystyczną linię, a więc i dno rowku jest dla każdego dźwięku innem; w ten sposób wszystkie litery alfabetu mogą być igłą na papierze zanotowane, i nareszcie za pomocą tejże igły odczytane.

Jakeśmy to już wspomnieli, próby robione w ten sposób z igłą i z papierem powiodły się Edisonowi o tyle, że mógł wywnioskować, iż robiąc dokładne przyrządy, może przyjść do znakomitych rezultatów. Przy pierwszych tych próbach głos, dobywający się z fonografu, zaledwie był słyszanym, niektóre słowa nawet tylko jako słaby szmer wychodziły; dziś Edisson buduje aparaty, których mowę słychać w całej sali napełnionej słuchaczami, a nawet w ostatnich czasach z czterechset stóp odległości.

Aparat Edisona w obecnym stanie, przedstawia się w sposób następujący.

Naprzód usunięto papier zwykły, a natomiast *fonogramy* odbijają się na cieniutkim papierze cynowym, albo też miedzianym. Te papiery metalowe mają tę przewagę nad zwykłym papierem, że są daleko plastyczniejsze, nie posiadają żadnych włókien ani chropowatości, i dla tego igła może na nich robić daleko dokładniejsze odbicia swoich ruchów. Możemy się o plastyczności cynowego papieru łatwo przekonać, wziąwszy kawałek takiego papieru (służy on w życiu codziennem do zawijania czekolady, herbaty itp.) i przycisnąwszy go palcem do jakiejkolwiek monety lub medalu. Najdrobniejsze i najdelikatniejsze wyrzeźbienia, odbiją się na cynfolii z największą dokładnością.

Otóż takiego papieru cynowego używa Edison w nowych swoich fonografach i na nim rysuje koniec igły swe zazębienia. Żeby go można było z łatwością przesuwać pod igłą, zbudował wynalazca przyrząd następujący: Mosiężny walec osadzony jest na osi, którą można obracać za pomocą korby, albo też za pomocą mechanizmu zegarowego. Na osi tego walca nacięte są zwoje śrubowe, a jedno z łożysk tej osi stanowi mutrę. Jeżeli więc zaczniemy korbą obracać, to walec będzie się nietylko obracał około swej osi, lecz i posuwał naprzód razem ze śrubą, i jeżeli do jednego punktu tego walca przystawimy dłuto i nie będziemy go ruszali z miejsca, trzymając silnie w jednem ręku, a drugą zaczniemy obracać korbą, to ostre dłuto wytnie na powierzchni walca rowek, który około tego walca obwijać się będzie spiralnie.

Takiego właśnie walca ze spiralnym rowkiem używa Edison w swym fonografie. Zawija go w arkusz papieru cynowego, który ściśle przylega do walca, wisząc po nad rowkami.

Tuż przy cylindrze stoi stale umocowana błona stalowa z igłą, która, zanim zaczniemy używać aparatu, opiera się na cynfolii i zagłębia się w nią wchodząc swym końcem do rowka. Jeślibyśmy w takim stanie zaczęli kręcić korbą,

to igła posuwałaby się po cynfolii wzdłuż rowka na walcu wyciętego i pozostawiłaby za sobą ślad na cynfolii, w kształcie równego rowka. Jeślibyśmy zaś podczas tego obrót zrobili do blaszki stalowej, to koniec igły byłby w ciągłym ruchu i dno rowka byłoby odpowiednio zazębionem.

Jeżeli po takiej operacyi odejmiemy na chwilę igłę, odkręcimy nasz walec napowrót, postawimy igłę na dawnem miejscu, i zaczniemy znowu korbą obracać, to wszystkie zazębienia zrobione poprzednio na cynfolii, zaczynają przesuwać się pod ostrzem igły, które wskutek tego musi się ruszać wzdłuż tych zazębień i wprowadzać w drganie blaszkę stalową, do której jest przymocowana.

Nie możemy się wdawać bez rysunku w opis szczegółowy, blaszki, jej umocowania, i sposobu w który igła do tej blaszki jest przyczepiona. Wspominamy tylko to, że igła nie jest bezpośrednio do blaszki przylutowaną, lecz łączy się z nią za pomocą odpowiedniej podpórki kauczukowej.

Jeżeli do tych opisanych części dodamy jeszcze koło rozpędowe, umieszczone na jednym końcu osi walcowej dalej dużą tubę papierową, którą się przymocowuje do blaszki dla wzmocnienia głosu w chwili, gdy ma ona powtarzać dźwięki w fonogramie zanotowane, to będziemy mieli przed sobą obraz całkowity Edisonowskiego fonografu.

Jeżeli weźniemy pod uwagę, jaka komplikacya tonów jest w ludzkiej mowie, jeżeli sobie przypomnimy, że każda samogłoska jest już złożonym akordem, że człowiek który mówi, ma na usługi delikatne i czułe mięśnie krtani i jamy ustnej, które dla każdej litery odpowiednio się układają, to wystawimy sobie jak potężne wrażenie musi robić głos wydobywający się z tak niezmiernie prostego aparatu, jakim jest fonograf Edisona, i gdyby odkrycie to było zrobione nie w r. 1877 ale w 1677, to życie wynalazcy nie warte byłoby złamanego szeląga.

Cóż może być dziwniejszego nad blaszkę, która powtarza ze wszystkimi modulacyami, ze wszystkiemi odcieniami uczucia, to co do niej poprzednio, przed godzinami, a nawet i przed laty mówiono.

Dziś, po wynalazku Edisona rozróżniać umiemy dwa rodzaje przyrządów do mówienia. Typem jednego rodzaju jest machina mówiąca prof. Fabera w Wiedniu, a drugiego, fonograf. Obie, mimo że dochodzą do jednego rezultatu, opierają się na wręcz przeciwnych zasadach. Faber zbudował przyrząd na wzór krtani i jamy ustnej ludzkiej, i wywoływa w ten sposób dźwięki odpowiedne literom układając w rozmaity sposób części składowe swego aparatu. Już przy skomplikowanym przyrządzie znajdowała się klawiatura, z której każdy klawisz odpowiadał innej literze i za pomocą której aparat odbywał swą funkcyę mówienia. Kauczukowy język i usta pomagały do wypowiadania spółgłosek, a do litery r zbudowanym był osobny młynek wietrzny, który przerywał skrzydełkami swemi wywiew powietrza i odtwarzał ten dźwięk, który w naturze zapomocą języka wydobywamy.

W ogóle Faber wziął się do rozwiązania zadania raz postawionego, (zbudowania machiny mówiącej), ze strony czysto fizyologicznej, naśladując jak można najdokładniej to, co się w naturze w chwili mówienia odbywa. Ponieważ nigdy nie można zbudować aparatu, któryby tak się poddawał wszelkim zmianom kształtu, jak mięśnie krtani i ust poddają się rozkazom przez nerwy dochodzącym, więc też i w mowie Faberowskiej machiny było bardzo wiele niedokładności. Głos był nienaturalny, jakiś dziwny, bezbarwny; jedne litery były lepiej, a drugie gorzej wymawiane, aparat podlegał bardzo częstym uszkodzeniom. Kiedyśmy ją po raz pierwszy widzieli, to machina ta nie mogła wymawiać litery *u*, bo się coś w odpowiednim klawiszu popsuło, a spółgłoski f, g, ch, były wymawiane z naciskiem, który ogromnie komiczne robił wrażenie.

Faber wziął się, jak powiedzieliśmy, do rozwiązania zadania ze stanowiska fizyologicznego, naśladując mechanicznie *przyczyny*, które w naturze wywołują drgania składające się na mowę ludzką. Edison rozebrał tę mowę na elementa, na pojedyncze drgania, zanotował te drgania drogą mechaniczną i następnie złączył je w jedną całość.

Faber odtworzył ruchy krtani i jamy ustnej — Edison odtworzył te ruchy, które błona bębenkowa odbywa podczas mowy w naszem uchu.

Pierwsze przez Edisona studyowane fonografy mówiły tak niewyraźnie, tyle liter traciło się przy powtarzaniu, że zaledwie można było zrozumieć te głosy, które się dobywały z blaszki metalowej. Było to pierwsze szczebiotanie dziecka, które się mówić uczy. Dzis fonograf zrobił ogromny krok naprzód, i głos jego słychać w sali przepełnionej słuchaczami, a przy niektórych próbach był on tak silnym, że słyszano go z kilkuset stóp odległości.

Z fonografem, w takim stanie jakim jest obecnie, daje się przeprowadzić szereg niezmiernie interesujących doświadczeń i zajmie on czasem pomiędzy akustycznemi przyrządami jedno z miejsc najwybitniejszych, ze względu na to, że jest niezmiernie pouczającym i że najzawilsze zjawiska akustyczne dają się za pomocą niego wybornie demonstrować.

Jeżeli mówimy do fonografu, obracając jedną ręką korbę, (dajmy na to, że głos nasz ma skalę niskiego basu), a potem przy recytowaniu przez fonograf, zaczniemy szybciej korbą obracać, to zauważymy iż ton naszej mowy zaczyna się podnosić. Jeżeli będziemy coraz szybciej kręcili, to z niskiego basu, przejdzie przez baryton, tenor, aż do wysokiego sopranu. Wiadomo bowiem, że wysokość tonu zależy jedynie od ilości drgań na sekundę i jeżeli szybciej korbą kręcimy, to ilość drgań błony jest większą a więc i ton tego, co błona mówi, idzie do góry.

Zupełnie tak, jak błona ucha naszego potrafi jednocześnie przemówić do wewnętrznego mechanizmu ucha wszystkie dźwięki, które słyszy jednocześnie, tak też i blaszka fonografu zdoła powtarzać najbardziej skomplikowane głosy. Robiono w tym kierunku dziwne i oryginalne doświadczenia. Spiewano naprzód do fonografu pewną aryę, potem cofnięto walec do pierwotnego położenia i mówiono dalej głośno jakieś zdanie, które odbijało się na wierzchu poprzednich zazębień, pochodzących od śpiewu. Skoro później kazano fonografowi recytować, to można było dokładnie odróżnić i mowę i spiew jednocześnie przez fonograf produkowane.

Duet na dwa głosy, spiewany jednocześnie, powtarzanym był z wielką dokładnością.

Innem interesującem doświadczeniem, które łatwo daje się wykonywać za pomocą fonografu, jest następujące: Jeżeli zaśpiewamy cokolwiek do fonografu i następnie tak będziemy obracali walec, że igła od fonografu przebieży drogę odwrotną, to wtedy i arya śpiewana poprzednio, będzie odwrotnie wyrecytowaną. W ten sposób wywołać można najkomiczniejsze efekta. Z mową zwykłą dzieje się zupełnie tak samo, i słyszymy na zawołanie słowa powtarzane odwrotnie np. *aboso* zamiast *osoba.*

Przy takich próbach odwracania, na które szczególną uwagę zwrócili pp. Fleeming Jenkin i J. A. Ewing w czasopismie „Nature" (Nr. 439) dowiedziano się, że nie tylko samogłoski, lecz i spółgłoski dają się odwracać. Czy drgania powietrzne, odpowiadające pewnej literze odbywają się w jednym kierunku, czy też w odwrotnym, to dla ucha naszego nie robi różnicy. Takie słowa dwusylabowe, jak *aba, ada, aża*, i tp. doskonale dawały się odwracać; tylko *affa* trudno było odróżnić od *assa.*

Fonograf został oddany w ręce uczonych dopiero od paru miesięcy; nie miano jeszcze dosyć czasu do zrobienia z nim dokładnych i szczegółowych doświadczeń. Jednak tych parę wyżej przytoczonych przykładów wystarczy do wyrobienia sobie pojęcia, jak dalej takie próby urozmaicać będzie można.

Pomimo iż fonograf tak cudownych rzeczy dokazuje, jest on jeszcze dotąd tylko przyrządem do ustawienia w gabinecie fizycznym, albo też niepospolitą naukową zabawką. Praktycznego zastosowania w stanie obecnym mieć jeszcze nie może.

Dziś jeszcze służy głównie jako przedmiot ciekawości — za lat kilka może będzie grał wybitną rolę w życiu społecznem człowieka.

B. Abakanowicz.

PANNA KAPITANÓWNA

przez

MARKA POLNICZA.

(Dokończenie).

— Siądz tu Dziuniu koło mnie — to ci powiem... a koniecznie ci muszę powiedzieć, bo mi pan Antoni za to będzie wdzięczny.

— No! siadaj sem Dziuniu! — rzekł kapitan i spojrzał na nią. Drżała jak w febrze.— Siadaj! — powtórzył.

Dziunia siadła.

— Jedź! — zakomenderowała audytorowa.

Rozkaz był niewykonalny. Kapitan stał przy koniach i głaskał je trzymając za uzdzienice.

— Dobre konie! — rzekł na pozór obojętnym głosem, w którym jednak brzmiała szalona ironia.

Audytorowa straciła kontenans.

— Cha, cha, cha, nie udał mi się żart! Chciałam pana przestraszyć i Dziunię porwać...

— I nie uda się meine Gnädige!... No, Dziuniu, wysiadaj!

— Cóż to, czy pan na seryo myślisz, że ja Dziunię chciałam porwać? cha, cha, cha, a to zabawne!

— Gott bewahre! jak nic sem nie myślę... No, Dziuniu!

— Wysiądź Dziuniu — szepnęła jej audytorowa. — Nie trać jeszcze nadziei, może da się inny środek obmyśleć do jutra!...

Dziunia wysiadła, chwiejąca się na nogach

*

jakby ostatnie w życiu stawiała już kroki. Kapitan wypuścił z rąk uździenice i zawołał:

— Jedź! — i pożegnał audytorowę kordyalnym gestem.

A gdy powóz ruszył, pochwycił całą siłą Dziunię za ramię i pociągnął za sobą do sieni.

— Marsz na górę! — wrzasnął. — Nie uda ci się mnie oszukać!

I popchnął ją przed sobą tak energicznym ruchem ręki, jakiego nie użył jeszcze ani razu od czasu, gdy przestał musztrować rekrutów...

Dziunia zemdlała.

Wyniósł ją na górę, klnąc różnemi językami i złożył na łóżku. Gdy za staraniem matki przyszła do przytomności i otworzyła oczy — odszedł do swego pokoju.

Z Antonim obszedł się dość szorstko, zaspokoił go sucho co do zdrowia narzeczonej i pożegnał, a potem chodził długo wielkimi krokami wzdłuż i wszerz pokoju, chmurny, zamyślony, milczący. Westchnął głęboko, usiadł, czoło poorane bruzdami i szeroką ozdobione blizną oparł na dłoni, dumał, wąs kręcił i kręcił bez końca, coś nakształt łzy błysnęło mu w oku, wstał — i znowu ciężkim a powolnym krokiem zaczął przemierzać pokój na ukos, od okna do pieca, od pieca do okna...

Nagle rzucił się jakby porwany jakiemś gwałtownem postanowieniem i otwierając drzwi zawołał:

— Fryziu!... Fryziu!... milllion! czemu jeszcze nie ma obiadu!...

XXXV.

W czasie obiadu Dziunia po raz drugi omdlała.

Kapitan klął, a gdy się jej dotrzeźwiono, kazał jej się położyć do łóżka, aby jutro rano była silniejszą.

A żonie rzekł:

— Ani mi na krok nie odchodź od niej!

I pogroził palcem.

Zdziwiła się kapitanowa tą niezwykłą jego o córkę troskliwością. Rozczuliło ją to.

— Jak on ją przecie kocha!—pomyślała!— Poczciwy Sandor!

A Sandor idąc spać pozamykał drzwi na klucz a klucz włożył pod poduszkę.

Nazajutrz z rana córce wstać nie pozwolił, aż do chwili, gdy już czas był zbierać się do ślubu.

Ubrano ją jakby martwą figurę woskową i zawieziono do kościoła.

Przed samym wyjazdem z domu ojcowskiego błagała Wanda narzeczonego rozpacznym głosem... ale na cóż o tem wspominać? Spieszmy do końca.

Ślub się odbył w porządku.

Panna Wanda została panią dyrektorową.

Ten ślub... czy opisać wam go szczegółowo, szanowne czytelniczki?

Na cóż to? Chodzicie pilnie do kościołów na staro-kawalerskie śluby; na dziesięć których będziecie świadkami, dziewięć podobnych będzie do ślubu Antoniego z Wandą.

Czy opisać wam może powrót ze ślubu — i wesele — i tańce — i rozpacz Dziuni?... Mimo najwierniejszego opisu, wyobrazi to sobie ten tylko, kto coś podobnego widział już w życiu... A to zresztą nie trudna rzecz. Jeżeliście takiego wesela byli kiedy świadkami, przypomnijcie sobie...

Chciała się otruć.

Nie otruła się. Brakło jej odwagi.

Drżała na myśl o zagrożonem przez Głuńską samobójstwie Floryana.

Drżała najbardziej w dzień ślubu i nazajutrz. Drżała jeszcze nieco przez następnych dni kilka. I coraz mniej dzień za dniem. I nakoniec drżeć przestała.

Dziękowała Bogu, że Florek życia sobie nie odebrał — ale... rozczarowała się.

I to rzecz zwykła.

Czy i myśleć przestała o nim? Trudno to odgadnąć o kim kobieta myśli — łatwiej dociec „co“ myśli, niż „czy“ myśli o kim.

XXXVI.

Wspomnieliśmy, że przed wyjazdem do kościoła na ślub, błagała Wanda pana Antoniego, aby przez litość zerwał projektowany związek. Obiecywała, że mu odda całą spodziewaną po dziadku sukcesyę, byle ją porzucił. Powiedziała mu, że go nie cierpi, nienawidzi, że nim pogardza, że go do śmierci nienawidzieć nie przestanie.

Nic to nie pomogło — jak wiemy.

Czy jeszcze go nienawidzi? — wszak to już kilka lat od owej chwili minęło?

Nie wiemy. Wiemy tylko, że roztyła się i zbrzydła — i że ma córkę podobniuteńką z rysów twarzy, z wołowatych oczu i małego noska do pana Antoniego — i że ją bardzo kocha. Czy szczęśliwa?

Pan Antoni niezbyt upodobał sobie życie rodzinne: z żoną przesiaduje bardzo rzadko, z dzieckiem się nie pieści, całe dni spędza w banku, wieczory w resursie. Czy szczęśliwy? Trudno odgadnąć. Wiemy tylko, że wiecznie się uskarża na znaczny ekspens domowy, a utyskuje na teścia, że mu żadnego nie dał posagu. Po otworzeniu testamentu Czecieczewicza pokazało się, iż tenże cały swój majątek—przeszło 120,000 guldenów—zapisał, nie wprost Dziuni, ale jej matce. Antoni zatem dotąd nic nie dostał.

Czy kiedy dostanie? Bóg raczy wiedzieć. Oboje kapitanowstwo zdrowi i jeszcze nie starzy. Za życia nic mu pewnie nie dadzą więcej oprócz tej corocznej głowy cukru, którą posyłają córce na święta. Nim słońce zejdzie, może zatem rosa oczy wypije. Majątek pana Antoniego, skutkiem niefortunnych spekulacyi giełdowych nie wzrasta wcale — natomiast wzrosła malina do potężnych rozmiarów i ciągle się powiększa. Lekarz mu radzi, aby zrobił operacyę, która, jak twierdzi, żadnem nie zagraża niebezpieczeństwem. Jemu jednak, jak się zdaje, żal postradać ozdobę czoła, którą w miarę jej wzrostu coraz częściej dotyka palcami, jakby w ciągłej był obawie, czy jej nie zgubił.

W domu państwa Istenhaza-Kaperman nic się nie zmieniło, dostatek tylko większy we wszystkiem. Kapitanowa dość często przesiaduje u córki — on częściej w kasynie oficerskiem. Dla zięcia swego coraz staje się opryskliwszym. Unikają się obaj wzajemnie. Dowiedział się kapitan o jego odmownej odpowiedzi na wyzwanie Floryana i nie może mu tego przebaczyć. Floryanowi ma za złe, że Antoniego po tej odmowie gdzie w kawiarni lub w teatrze nie zbił na kwaśne jabłko.

— Nie ma ducha w tej młodzieży! kein Feuer!... I chciał, żeby ja mu córkę dał! No — ten Antoni także sem nie wart nix, nix... keinen Strohsaak werth! Pfui!... No, przynajmniej coś ma: dwa domy i pensyę dyrektorską.

Mikołaj dotąd nie ożenił się jeszcze. Kawaler do wzięcia. Siedzi w Leśnej Wólce i mówią, że jest w bardzo złych interesach. Twierdzą, że się ubiega o względy pewnej sąsiadki, której mąż dogorywa na suchoty. Od czasu zerwania z kapitanówną nie pokazał się ani razu we Lwowie. Boi się starego żołnierza, który już o nim zapomniał. Floryan nie myśląc go wyzyskiwać, odesłał mu po ślubie Wandy przedarty rewers na tysiąc guldenów.

Kalasanty siedzi w zakładzie obłąkanych w Kulparkowie i bez wątpienia nigdy go już nie opuści. Bez przestanku rozprawia o kwadraturze i o loteryi liczbowej, przeplatając niedorzeczne swe wywody geometryczne cytatami z Odyssei. Nie chce się dać kąpać i zaręcza, że do Leśnej Wólki nie pojedzie, bo się starać musi o profesurę. Pisze codzień nowe podanie do rady szkolnej z nadzieją pomyślnego skutku. Wygląda wybornie, je za trzech. Brody już nie skubie.

Panna Pawlina jest panną do wzięcia: — wdzięków znowu znacznie ubyło a przybyło złego humoru i nienawiści do całego rodu męzkiego. Klucz od spiżarni kapitanowstwa spoczywa w jej komodzie. Czemu go tak przechowuje? Nie wiemy.

Pani Głuńska poszła za mąż po raz wtóry za ładnego i rozumnego chłopca — niestety o lat ośm od niej młodszego. Jej siostrzenica, panna Emilia Falconi nie poszła ani za pana Dyrdaka, ani za pana Hołapkę, ale za pana... ach, zapomniałem!

— A Floryan?

Pisze fejletony.

Marek Tolnicz.

TEATR.

(Występy panny Deryng: „Romeo i Julia,“ „Intryga i miłość.“ — Benefis p. Zboińskiego: „Ostrożnie z ogniem“ Alfreda de Musset. — Występy p. Millera.)

Maluczko już, a ściany skarbkowskiego teatru będą głuche i puste, ledwie raz lub dwa razy na tydzień ożywiane po południowem przedstawieniem. Zanim jednak to nastąpi, wytęża teatr wszystkie swoje siły, uzbraja się we wszelkiego rodzaju magnesa i w istocie udaje mu się dokazać małego cudu w tych ciężkich czasach, mianowicie przez kilka dni z rzędu zapełniać się publicznością.

Winna temu panna Deryng, pan Ładnowski, pan Miller, winne nareszcie benefisa ulubionych artystów. Coś winien przecież także Szekspir, Szyller i Musset, dawno niewidziani na naszej scenie.

Pannę Deryng witały serdeczne, długie, rzęsiste oklaski, którym towarzyszyły bukiety. Witano w niej dawną ulubienicę Lwowa, a zarazem jedyną dziś gwiazdę pierwszorzędną na scenie polskiej, jedyną przynajmniej dopóty, dopóki pani Modrzejewska świeci na horyzoncie Nowego świata.

Moglibyśmy i my sypnąć pochwałami i oklaskami, nie znaleść wyrazów dla uniesienia i poprzestać na tem. Byłoby to jednak najgorszą przysługą dla artystki, jak w ogóle najgorszą jest przysługą dla każdego talentu, zdolnego jeszcze do dalszego rozwoju, wmawiać weń, że stoi u szczytu doskonałości i nic mu już nie pozostaje, jak przyjmować kadzidła, oklaski i bukiety.

Panna Deryng miała wspaniałe ustępy w Julii, znakomite w Ludwice, ale tylko w Kamilii całość jej gry nie podlegała najmniejszym zarzutom. Panna Deryng pod pewnym względem stanowi zupełną sprzeczność z panią Modrzejewską. Jak ta ostatnia z nieporównaną gracyą umie przedstawiać charaktery wiotkie, kapryśne lub melancholijne, tak pierwsza znów celuje w odwzorywaniu temperamentów ener-

gicznych, natur bohaterskich. Z Kamilli w „Ostrożnie z ogniem“ Musset nie zrobił bohaterki na wielką skalę, ale jest w niej temperament energiczny, jest w niej materyał na bohaterkę i dla tego to rola ta tak przypadła do talentu panny Deryng, dla tego grę panny Deryng w tej roli można nazwać „sztuką z jednego odlewu“. Przeciwnie w przedstawianiu charakterów sentymentalnych, więcej biernych, niż czynnych, daje się czuć w grze naszej znakomitej artystki pewien brak równowagi artystycznej, a w skutek tego pewien brak miary w wyrażaniu uczuć, pewien brak prawdy w głosie. To też z trzech ról, w których dotychczas widzieliśmy pannę Deryng, rola sentymentalnej Ludwiki w „Intrydze i Miłości“ najmniej zdaje się odpowiadać rodzajowi jej talentu. Co się tyczy Julii, która jest skomplikowanym temperamentem, złożonym z usposobień biernych i czynnych, to najświetniej zajaśniał talent panny Deryng w scenach, w których Julia wyrasta na bohaterkę tragiczną, przedewszystkiem zaś w scenie przed zażyciem trucizny, chociaż niepodobna nie przyznać, że i scena balkonowa i krótka scena pierwszego spotkania się z Romeem szczęśliwie były obmyślane i wdzięcznie przedstawione.

Przedstawienia, w których występowała panna Deryng, możnaby nazwać także i występami pana Ładnowskiego, dopiero bowiem za jej przyjazdem znalazł się pan Ładnowski w odpowiedniej sferze ról, choć i ta sfera nie była jeszcze najodpowiedniejszą. Hamlet, Ryszard, Otello, oto graniczne słupy państwa, w którem talent p. Ładnowskiego panował samowładnie. W rolach kochanków tragicznych czuć było dawniej w grze naszego artysty pewien przymus, pewne naginanie talentu do rzeczy obcych dla siebie.

Tak było dawniej. Z radosnem zdziwieniem spostrzegliśmy, że talent p. Ładnowskiego nie tylko nie zardzewiał w bezczynności, ale niejako rozrósł się, doskonaląc się w rolach, które dawniej należały do mniej szczęśliwych jego kreacyi. Role Romea i Ferdynanda odegrane były z zapałem, natchnieniem, ogniem, z którego tryskała prawda, a prawie nigdzie dawniejszy nie okazywał się przymus.

P. Zboiński po dwóch najniestosowniejszych dla siebie rolach, więc niefortunnie odegranych, starego Kapuleta i prezydenta, znalazł się w swoim żywiole w roli starego barona w „Ostrożnie z ogniem.“ Publiczność hucznie i serdecznie witała beneficyanta.

Na zakończenie o p. Millerze. Dał on nam pokosztować basu, jakiego Lwów od dawna nie słyszał, i szczególnie w „Ernanim“ śpiew jego był prawdziwą ucztą dla ucha. Spiewacy nasi mogli wiele skorzystać od pana Millera, u którego każda nuta zlewa się ze słowem w doskonałą, wspólnem życiem drgającą całość. Przedstawienie „Ernaniego“ i z tego względu zasługuje na uwagę, że w roli Elwiry niespodzianie wystąpiła pani Skalska. Z początku źle wróżące zadziwienie publiczności — po pierwszej aryi oklaski, i w istocie pani Skalska z małym głosikiem swoim wcale pomyślnie odbyła pierwszy debiut jako primadonna.

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 2. maja.

I niechże tu kto teraz powątpiewa o konieczności posłuszeństwa wszelkim władzom od Boga postanowionym, jeżeli sama natura nie śmiała wprzód objawić uczuć swych wiosennych, nim na to otrzymała od władz odnośnych pozwolenie. Dopóki c. k. kapela wojskowa nie ogłosiła w dniu 1go maja otwarcia wiosny, podobnie jak Mac-Mahon wystawy paryskiej, mieliśmy zimno, a kasztany na wałach hetmańskich tylko skutkiem przeoczenia c. k. prokuratoryi próbowały pokazywać swe liście. Ale gdy odezwał się urzędowy puzon w towarzystwie brzęczących talerzy, niebo się uśmiechnęło, zawiał południowo-zachodni zefirek, a liście na drzewach pootwierały uszy z roskoszą wciągając tony boskiej urzędowej muzyki. Trzeba przyznać, że kasztany mają daleko więcej rozumu od „Dziennika Polskiego;“ nie przekomarzają się z c. k. prokuratoryą, postępują lojalnie jak na obywateli austryacko-węgierskich przystało, dla tego też nie będą miały łysiny na czole jak 101 numer „Dziennika“ w dniu wiosennym i będą mogły przez całe lato okrywać swym płaszczem szanowne dzieci Izraela tak niewdzięcznie przez tenże Dziennik porzucone.

W ślad za otwarciem wiosny, zaczyna się poruszać i poczciwy ludek lwowski, wszystko co żyje ciśnie się na ulice i spacery, a przyjemna woń nowego życia, wydobywając się ze spienionych nurtów Pełtwi i zakratowanych okien kanałów, napawa błogą nadzieją lepszej przyszłości... Nawet szanowny magistrat uwzględniwszy poprzednie nasze co do zamiatania ulic uwagi, polecił *pucować* je już nie o ósmej z rana, ale o dziesiątej.

Na górze Wysokiego Zamku objawia się ruch niezwykły, drugiego maja przybywa straż ochotnicza razem ze stowarzyszeniem „Gwiazdy“ ze Stanisławowa, kapela Harmonii tamtejszej towarzyszyć jej będzie, a gdy i lwowska straż ogniowa połączy swe siły ze Stanisławowską, spodziewamy się, że kopiec Unii o parę sążni w górę podniesie swą głowę nad miastem. Jedna tylko zachodzi obawa, czy Stanisławowska Harmonia z Harmonią lwowską nie wyrodzi dysharmonii, bo już w naturze tak jest, że tylko kontrasta wywołują zgodę — niech p. Mikuli z panem Kamińskim raczą się nad tem zastanowić.

Jednakże nie dla wszystkich na świecie wiosna przyniosła tyle pociechy co dla Lwowa. Niedaleko szukając i w naszej Galicyi w powiecie krośnieńskim trzynaście gmin włościańskich zamiast chleba, spożywa resztki słomy startej na mąkę, trzydzieści rodzin przez trzy dni nie miało co wziąć do ust, a w kilku miejscach pokazał się tyfus głodowy. Czy to może być prawda? zapytacie piękne czytelniczki zapijając wyborną kawę na śniadanie... To nie może być! powie niejeden wygodniś, grymasząc gdy mu podadzą befsztyk niedosmażony należycie. A jednak tak jest, są na to urzędowe sprawozdania c. k. starostwa i wydziału powiatowego. W Galicyi, w tym kraju czysto-katolickim, pełnym chrześciańskiego miłosierdzia, wskróś patryotycznym, w kraju, gdzie zbierają się znaczne składki na pomnik dla gubernatora, na pomnik dla ojca św., na teatr w Poznaniu, na św. pietrze, na gazety francuskie, na budowę kościołów, i tyle tym podobnych celów wielkiego znaczenia, nie ma funduszu na kupno kawałka chleba dla biednych nędzarzy karmiących się trocinami ze słomy... Dotąd prócz wsparcia od władz autonomicznych i p. Ignacego Łukaszewicza, złożyli w redakcyi „Dziennika Polskiego“ Bartek, Grzegorz, Wojciech i trzech innych wyrobników lwowskich 6 złr. 50 centów... Przedstawiamy fakt nagi, czytelnicy niech się uderzą w piersi, ręką zasłonią oczy... i... sięgną do portmonetki...

Sprawa peryodycznie u nas pojawiającego się głodu, sprawa zapomóg, bezprocentowych pożyczek już oddawna zajmuje myślących i kochających kraj swój obywatelski. Wiemy, że była komisya sejmowa do zbadania przyczyn zubożenia kraju, że ta komisya na wielkich arkuszach drukowanych szematów, ponotowała wszelkie szczegóły statystyczne — lecz co dotąd w tym kierunku zrobiono, nie wiemy. A jednak sprawa ta staje się coraz bardziej piekącą i nie da się łatać jednorazowymi zasiłkami i nakarmieniem zgłodniałych. Na razie i to potrzebne, lecz czas byłby wziąść się do radykalnego usunięcia złego, czas nauczyć i pomódz temu biednemu ludowi, aby potrafił i mógł zapracować na swoje wyżywienie. Pole do pracy u nas jeszcze nie jest tak ścieśnione, żeby na nim ludność robocza galicyjska pomieścić się nie mogła — potrzeba tylko urządzić dla niej tę pracę, nauczyć, zaopiekować się do czasu, nawet ponieść pewne dla celów tych ofiary, a za to przez długie wieki potomkowie błogosławić będą takich dobrodziejów. Drogą urzędową trudno jest dojść do podobnych rezultatów — każda machina taka ciężko funkcyonuje. Ale stowarzyszenie prywatne ludzi dobrej woli i dobrego serca — podobne do stowarzyszenia osad rolnych dla małoletnich przestępców w Warszawie — może najskuteczniej powołać do życia odpowiednie dla każdej okolicy Zakłady, które dadzą godziwy zarobek ubogiej ludności. Na takiej drodze rozwinięta agitacya czy drogą publicznych składek, czy wypuszczonych małych akcyi, może mieć wielkiej doniosłości dla kraju i przyszłości jego znaczenie. Lecz na to potrzeba Czackich, potrzeba Staszyców lub Skarbków, którzy niestety już od dawnego czasu w Galicyi się nie rodzą.

Ot i w tych dniach Wydział krajowy, ta najwyższa władza autonomiczna, popełnił czyn, który może wywołać powszechne u nas zdumienie. Wyobraźcie sobie zawotowano na Radzie w najpochlebniejszych wyrażeniach zaszczytne uznanie zasług dla Cara. Mówię na seryo dla Cara, będziecie czytać o tem w sprawozdaniu z czynności Wydziału krajowego. Zachodzi tylko mała niejasność co do imienia, i powołania uznanego.— Wydział to zrobił dla Teodora a nie Aleksandra, i nie dla Cara rosyi ale Cara, Naczel. gminy w Podbrzeżcach. Otóż ten Car włościanin, nawet niepismienny, sprawując przez lat dwadzieścia obowiązki wójta gminy, jakkolwiek nie może się wykazać znajomością zasad filantropii publicznej— to jednak dobrą wolą, energią i rozumem tyle dokazał, że gmina Podbereżce nie zna wcale lichwiarzy i posiada jego staraniem zebrany na budowę cerkwi kapitał 20.000 złr. Kapitał ten wypożyczany na małe procenta mieszkańcom Podbereżec i wsi sąsiednich oddaje wielkie usługi ochraniając od lichwy i przychodząc z pomocą potrzebującym. Podług sprawozdania Wydziału powiatowego lwowskiego, gmina Podbereżce jest wzorowo prowadzona pod względem porządku, czystości i umoralnienia ludu tak, że sąsiednie gminy niemieckie tylko z zazdrością na ten ład spoglądają. Więc czy takiemu Carowi nie należy się publiczne uznanie, i czy przykład jego nie może zachęcić innych już piśmiennych ludzi do szlachetnej rywalizacyi!

Z dziedziny poważnej dyskusyi zejdźmy znów na zapylony bruk lwowski popatrzeć jak się też poczciwy nasz ludek zabawia. Prelekcye publiczne poszły już na bok, gdzie niegdzie tylko niby zabłąkany marudera daje znak życia taki odczyt o szlachcie w ogóle, a polskiej szlachcie w szczególe. Za to teatr w oczekiwaniu trzechmiesięcznego letargu od 1 czerwca, wydaje spiew łabędzi na korzyść beneficyantów. Przyjazd z Warszawy panny Deryng, występy pana Millera, Norma z niedyspozycyą panny Gabbi, wreszcie koncert trochę za słony pani Artôt, zwabiają publiczność i niszczą jeżeli nie kieszeń, to ręce od klaskania. Skromniejsi w żądzach duchowego pokarmu, kontentują się koncertami na otwartem powietrzu przed pałacem Namie-

…stnictwa, zaś c. k. żołnierze w niebieskich czapkach, wraz z obdartymi potomkami Izraela, zadowoleni są nawet z rodzinnej naszej Harmonii, na wałach Hetmańskich.

Tu i owdzie zakochana para słucha po nad buremi falami Pełtwi trylów słowiczych, a p. Ihnatowicz w eleganckim kiosku jezuickiego ogrodu rozstawił życiodajne wody, do których z powodu ciężkich czasów i braku floty do odpłynięcia za granicę, cisnąć się będą zakatarzeni na żołądku, na sercu i na kieszeni. Gmach sejmowy już muruje swoje fundamenta, a właściciele domów widząc, że lokale stoją pustkami, spuszczają z tonu. Szczególniejszego też rodzaju ciekawość trawi czasami tych gospodarzy domów we Lwowie. Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi następującą scenę z pewną właścicielką realności, do której zapędziła go kartka oznajmiająca o lokalu do najęcia: „pięć pokoi, przedpokój, kuchnia, spiżarnia, strych, piwnica, balkon, schody etc.,— stało wypisane na tej karcie — wiadomość u gospodyni “

— Czy tu można się dowiedzieć o mieszkaniu do najęcia? — zapytał bardzo przyzwoitej damy o rumianem obliczu, która korpulentną osobą raczyła stanąć we drzwiach, nie wpuszczając go do pokoju.

— Jak się pan nazywa?

— Tak a tak — mówię — więc gdzież jest ten lokal?

— Co pan za jeden?

— Urzędnik sądowy... chciałbym zobaczyć.

— Jaką pan ma płacę? — mówi swoje rumiana dama o siwych loczkach.

— Chciałbym zobaczyć.

— A dzieci wiele pan ma, czy familią...

— Daruje pani — rzecze mój przyjaciel, ale ja tu przyszedłem dowiedzieć się o lokalu do najęcia nie na indagacyą policyjną...

— Ja muszę to wiedzieć.

— A ja nie mam chęci powiedzieć.

— Więc.

— Więc żegnam panią...

— Lokal na dole proszę sobie obejrzeć, może tam kto jest.... niech pan puka...

Już schodziłem ze schodów, gdy pani z siwymi loczkami woła za mną:

— Czy pan dla siebie wynajmuje?...

— Ależ pani, jeszcze nie widziałem i niepotrzebnie pani swe usta trudzi tym examinem.

Zdawałoby się, że to musi być apartament wyszukanej elegancyi i nieskalanej czystości — a w rzeczy samej pokazało się primo: że prosta sień ze dworu nazywa się przedpokojem, a część tej sieni spiżarnią — *secundo*, że dwa pokoje są jak piwnice ciemne, niskie, ponure i wilgotne — *tertio*, że trzy pozostałe mają kształt kwadratów ukośnych i zimne, że pies tam podczas zimy nie wytrzyma. Wszystkie zaś razem brudne i obdarte, odpowiednie na kordegardę wojskową, a nie na familijne mieszkanie. Więc rezultat taki, co też ta pani sobie myślała prowadząc tak impertynenckie badania? Czy kupiec robi łaskę gościowi w sklepie jak mu towar sprzedaje, czy też przeciwnie gościowi należy się uprzejme przyjęcie w sklepie.... Bo dla najmującego lokal u rumianej pani z siwemi loczkami, ta pani niczem więcej nie jest jak tylko kupcem, mającym bardzo lichy towar do sprzedania.....

* * *

Szanowny czytelniku! Przedstaw sobie, że masz siwego ojca, którego w twych oczach sieczono rózgami za to, że chciał dla kraju swego wolności, że masz siostrę, którą ci tyran zhańbił i oddał na wieczne czasy włóczędze po dalekim świecie, żeś sam najpiękniejsze chwile twego życia, chwile młodości, serdecznego zapału, musiał przepędzić w kazamatach na słomianej pościeli, w głodzie, chłodzie i wilgoci, że wszystkich twoich towarzyszy, wszystkich tych, co tak szlachetnie jak ty myślą, poddają haniebnym karom, każą im w prochu tarzać się przed barbarzyńcami, zamykają ich na zawsze od świata, pędzą ku samobójstwu, pomięszaniu, okropnym chorobom z nędzy, głodu i w najlepszym razie pozwalają im żyć, życiem bez jutra, zwykłem, pospolitem życiem zwierzęcia, które tylko jeść i pić potrzebuje...

Przypomnij sobie żeś bezsilny, bo cię gniecie potężna przemoc pięści, że prawo nie dla ciebie jest zrobionem, i że gdybyś w szaleństwie wzywał wszystkie piekielne i niebieskie moce, to nikt po twojej stronie nie stanie... kogo obchodzi pająk rozdeptywany nogą przechodnia?

Lecz oto stawiają przed tobą, jednego z tych silnych pięścią, a wielkich surowością, który się pastwił nad tymi, których ukochałeś, który jak pies gończy wyszukiwał cię w najgłębszych ukryciach, hańbił cię za to, żeś żądał swobody i światła, plwał tobie w twarz i targał za włosy... Od którego ręki tysiące innych niewinnych a sprawiedliwych ginie w więzieniach, wysyłając ludzkości, przez kraty, bezsilne przekleństwa... Dają ci broń do ręki, która pali dłoń twoją.. cały obraz wiekowej nędzy twych braci staje ci przed oczyma... słyszysz świst rózeg rozlegający się w podwórzach więziennych, a wymierzanych na rozkaz kata, który przed tobą stoi...

Cóżbyś wtedy uczynił?

Wiera Zasulicz strzeliła w takiej chwili do Trepowa!

Zdaje mi się, że i ty, rzuciwszy na bok wszystkie skrupuły, narzucane przez twoje poczucie praw pisanych i obowiązujących, (które zresztą dla ciebie niewolnika nie istnieją) postąpiłbyś zupełnie tak samo, jeźlibyś miał dość odwagi w sercu, do zniesienia tego coby potem nastąpiło.

A jeżeli twoje sumienie chrześciańskie żąda przykładów z ludzi miłych Panu, to przypomnij sobie Judytę, której Bóg dał miecz w rękę do wymierzenia sprawiedliwości.

Skoro wieść o uniewinnieniu Zasuliczówny przez sąd przysięgłych w Petersburgu, rozniosła się po świecie, przyjęto ją wszędzie, gdzie tylko miłą jest wolność, z uznaniem a nawet ze czcią dla bezstronności sądu...

Warszawę, która dobrze znała rękę Trepowa, przeszedł dreszcz zadowolenia.

Tymczasem u nas, w stańczykowskim organie, który legitymizm swój posuwa tak daleko, że staje w obronie każdej sprawy, byleby tylko ona miała cechę rzeczy od władzy pochodzącej, która jest pełnem uwielbieniem dla karlistów, najdziwaczniejsze i najśmieszniejsze wybryki ultramontanizmu zasłania własną piersią i broni przeciw postępowi, w tym organie znajdujemy kilkakrotną wzmiankę o procesie Zasuliczówny, w tonie takim, że je bez żadnych uwag z naszej strony, tutaj, jako *curiosum verte* przytaczamy:

„Dosyć przeczytać proces Wiery Zasulicz, aby zadrżeć z przerażenia i grozy na widok objawów już nie pobłażania, lecz współczucia, począwszy od prokuratora, a skończywszy na tłumie, który Zasuliczównę odprowadzał tryumfalnie do domu“...

Robienie wniosków z tego ustępu, pozostawiamy naszym czytelnikom.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Gorecki Antoni.* Pisma, wydanie zbiorowe uprawnione przez spadkobierców 8ka, str. 551. Lipsk 1878. 4.55

— *Hoffmann Fr.* Plebania, przełożył Stanisław Kunasiewicz (X tomik Biblioteki dla młodzieży) z czterema rycinami 8ka, str. 176. oprawne. Brody 1878 50 ct.

— *Hoffmann Fr.* W Karroo, przełożył Stanisław Kunasiewicz (XI tomik Biblioteki dla młodzieży) z czterema rycinami 8ka, str. 159. oprawne. Brody 1878 50 ct.

— *Mowa kwiatów.* Zabawa towarzyska dla dorosłych ułożona przez A. K. 16ka, str. 63 oprawne. Lwów 1878. 60 ct

Musset Paweł. Zęby Turkosa, opowiadanie z francuskiego, przekład Henryki G. 8ka, str. 77. Warszawa 1877. 60 ct.

Słowacki Juliusz. Marya Stuart, dramat historyczny w 5 aktach (60 tomik Biblioteki Mrówki) 16ka, str. 100. Lwów 1878. 30 ct.

— *Wesoły towarzysz* czyli sposób przyjemnego zabawienia się w towarzystwie zebrał F. Ch. 16ka, str. 279. Sambor 1878. 1.20

— *Wrogi państwa,* romans historyczny przełożył X. Julian Echaust. 2 tomy, 8ka, str. 346, 496. Pelplin 1877. 2 60

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Śpiewnik polski,* którego tomik pierwszy wkrótce już opuści prasę, wyjdzie nakładem Księgarni Polskiej w 12 zeszytach. Zawierać będzie przedewszystkiem pieśni śpiewane w różnych okolicznościach jako to: religijne, patryotyczne, okolicznościowe, przygodne, erotyczne. Nie jest zadaniem śpiewnika zgromadzenie wszystkich pieśni polskich, gdyż zadanie to byłoby zbyt olbrzymie, ale tylko najulubieńszych i najwięcej rozpowszechnionych tak w dawnych wiekach jak i obecnie, bądź śpiewanych w całej Polsce, bądź w pojedyńczych prowincyach, bądź w całym narodzie, bądź w pewnych tylko klasach.

Ażeby zgromadzić cały materyał, wydawca zwraca się z prośbą do wszystkich, którzy pomysł wydania takiego śpiewnika uważać będą za rzecz pożyteczną, o pomoc, o nadsyłanie rzadkich pieśni, które mniej dziś są znane, lub które nie we wszystkich okolicach kraju są znane. Dotąd wydawca posiada około 600 pieśni, obok tego ma jeszcze przyobiecanych kilka cennych zbiorów. Z tem wszystkiem wdzięczny będzie za każdą nadesłaną piosnkę, która może się nie znajdować w dotychczasowym zbiorze, albo może posiadać lepszy odpis.

Zeszyty po 6 arkusików druku sprzedawać się będą po 20 centów, na lepszym papierze po 30 ct.

Przedpłata na cały komplet z 12 zeszytów 2 złr., na lepszym papierze 3 złr.

Biorący po 100 egzemplarzy lub więcej do rozpowszechnienia otrzymają ustępstwa z ceny.

*** *Armata.* Plotki i nie-plotki stryjskie. Pod tym tytułem ukazał się pierwszy numer czasopisma w Stryju, które na początek nie będzie peryodycznem lecz gdy znajdzie powodzenie, zamieni się w peryodyczne.

Z przyjemnością widzimy, iż literatura prowincyonalna zaczyna kiełkować i jeżeli panowie wydawcy nie będą się zrażać trudnościami a potrafią przełamać lody obojętności, prasa prowincyonalna odda wielkie usługi krajowi. Spodziewamy się, że Tarnów, trzecie miasto w Galicyi nie pozwoli długo wyprzedzać się mniejszym miastom.

*** W Kołomyi nakładem Towarzystwa pedagogicznego opuścił prasę odczyt Tytusa Słoniewskiego *O pisowni ruskiej.*

⁂ *Praktyczny hodowca królików ras uszlachetnionych, drobiu i wszelkiego ptactwa domowego.* Pod tym tytułem pan Antoni Popiel rozpocznie z dniem 1. lipca wydawać dwutygodnik w Brodach. Jakkolwiek pismo to jest zbyt specyalne. aby mogło liczyć na licznych odbiorców, może jednak oddać prawdziwe usługi krajowi przez zachęcenie gospodyń naszych do podniesienia produkcyi krajowej w tym kierunku.

⁂ Stefan Buszczyński przygotował do druku nowe dzieło pt. *Karpaty i Słowiańszczyzna.*

⁂ Józefa Laskownickiego *Rusini*, powieść w trzech częściach wyszła w nowem wydaniu nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie. (1 złr.)

⁂ „Kuryer Warszawski“ drukuje nową powieść J. I. Kraszewskiego pt. *Jak się pan Paweł ożenił.*

⁂ Jan Jeleński wydał nową rzecz pt. *Dworacy Żydów*, przyczynek do kwestyi żydowskiej.

⁂ Andriolli pracuje nad rysunkami do *Starej baśni.* Pierwszym kartonom przyznają krytycy niezwykłą wspaniałość.

⁂ Siemiradzki wykończył dwa obrazki rodzajowe *Dziewica i amfora* i *Rozbitek żebrzący*, które wysyła na wystawę paryską.

⁂ Ostatni numer *Towarzysza pilnych dzieci* zawiera: Wiosna. wiersz J. P. Skarb matki, opowiadanie przerobione z francuskiego przez Zosię Jordan. Pogadanki ojca z dziećmi o tem, co w świecie widzimy i czego nie widzimy, napisane przez Pszczółkę. Mama i Witoldek, Józefa Chmielewskiego. O zegarach, Józefa Chmielewskiego. Historya polska opowiedziana pięcioletniej Jadwini przez jej mamę. Insygnia królewskie Kazimierza Wielkiego (z ryciną). Nabożeństwo majowe. Modlitwa poranna, wiersz Maryi z Rusiłowa. Zagadka. Od redakcyi. Iwonicz. Prenumerata na *Towarzysza* wynosi kwartalnie 1·20 ct.

⁂ *Rocznica 3. maja* obchodzoną była we Lwowie wspaniale, jak na to zasługuje ten piękny moment dziejów naszych.

⁂ Stowarzyszenie rękodzielników lwowskich *Gwiazda* w dniu 5. maja obchodzi dziesięcioletnią rocznicę swego zawiązania. Szybki rozwój tego towarzystwa i jego dobroczynny wpływ na oświatę klas pracujących pozwalają mieć nadzieję, że w drugiem dziesięcioleciu przedstawi ono jeszcze obfitszy rezultat w tym kierunku.

⁂ Pani Helena Modrzejewska spodziewaną jest w b. m. w Warszawie, gdzie prawdopodobnie pozostanie.

Wiadomości ekonomiczne.

⁂ Nieporadność naszych przemysłowców przechodzi wszelkie granice. Mamy tu we Lwowie dwie fabryki doskonałych zapałek, zapałek mogących konkurować o pierwszeństwo tak w całej Europie jak i na drugiej półkuli, gdyż wiadomo, że Wiedeń zaopatruje w znacznej części w zapałki Amerykę. Ale któż może się domyśleć, że p. Ehrlich jako też pan Dydacki wyrabiają tak doskonałe zapałki, skoro panowie przemysłowcy nigdzie o tem nie ogłaszają. Reklama jest wszystkiem w 19 wieku p. *Von Orlice* sławny oszust w Berlinie afiszuje na wszystkie strony świata, że może przesłać wygrywające numera na loteryi i znajduje dostateczną liczbę wierzących, którzy dają mu środki na prowadzenie tego rzemiosła. Pewien kupiec angielski zrobił milionową fortunę na czernidle do butów zaleciwszy je na całym świecie. P. Dydacki zaś i p. Ehrlich, posiadając doskonały towar i stosunkowo mogąc sprzedawać taniej jak fabrykanci zagraniczni, nie tylko nie zadają sobie fatygi zareklamować swój towar w Europie, ale nawet w kraju nie czynią tego i publiczność nasza sprowadza zagraniczne gorsze i droższe zapałki.

To samo da się powiedzieć o atramencie... któż u nas nie uskarża się na zły, często nie do użycia atrament, który przychodzi do nas z Wiednia lub jest wyrobiony przez tutejszych żydków, kiedy posiadamy we Lwowie doskonały atrament Tepy, o którym jednak nikt nie wie i przypadkiem tylko można się dowiedzieć od znajomych, którzy już tego atramentu używają. A przecież atrament p. Tepy powinienby wyrugować z naszego targu lichy towar zagraniczny i ściągać jeszcze kapitały z zagranicy.

Reklamy panowie przemysłowcy, reklamy jak najwięcej — niech to was nie odstręcza, że reklama nieraz nadużytą została przez oszustów, bez reklamy nic nie zrobicie.

ROZMAITOŚCI.

⁂ Program otwarcia Wystawy Paryskiej. Zaproszeni przybyć mają na Trocadero na krótko przed godziną drugą.

Obcy książęta, jako to: książę Walii, następca tronu austryackiego, król hiszpański Franciszek, książę Aosta. książę Henryk niderlandzki, Frydryk następca tronu Danii i książę Leuchtenberski, cesarstwo rosyjskie zastępujący, zostaną w sali uroczystości przez ministra handlu i rolnictwa przyjęci i do urządzonej dla nich innej sali wprowadzeni.

Tenże minister przyjmie też ambasadorów, pełnomocnych ministrów i reprezentantów obcych mocarstw, zarówno jak i generalnych komisarzy, prezydentów obcych oddziałów, prezydenta parlamentu, francuskich ministrów i deputacye różnych władz państwowych, każda z dwóch osób złożoną.

O godzinie drugiej zjawi się prezydent rzeczypospolitej francuskiej.

Mac-Mahon przybędzie w wojskowem swem otoczeniu.

Od pałacu elizejskiego aż do Trocadero stać ma wojsko w szpalerze.

Pana prezydenta przyjmie również minister handlu i rolnictwa i wprowadzi do salonu gdzie znajdować się mają książęta.

Po powitaniu uda się orszak na estradę, ustawioną u stóp wodospadu.

Trzy arkady za tymże się znajdujące tworzą trybunę o sześćdziesięciu miejscach, oczekujących na panią marszałkową Mac Mahon, damy dyplomatycznego ciała i żony ministrów.

Na estradzie towarzyszyć będą marszałkowi obcy książęta, wojskowi z jego orszaku i niektórzy wysocy urzędnicy.

Tam powitają marszałka minister handlu i rolnictwa, generalny komisarz wystawy Krantz i dyrektorowie różnych gałęzi wystawy.

Minister zwróci się z krótką przemową do prezydenta rzeczypospolitej, poczem tenże ogłosi wystawę jako otwartą.

I zagrzmią działa z pałacu inwalidów, z bateryi ustawionej na Ile de Cygnes i z fortu Mont Valérien.

Strzałów tych będzie sto i jeden.

Ozwie się dalej niewidzialna (gdyż ukryta w sklepieniu wodospadu) wojskowa potężna orkiestra, zaszumią wodotryski i powieją sztandary wszystkich narodowości na dachach obudwu pałaców.

Marszałek i jego wysocy goście ruszą dla zwiedzenia wystawy.

Pochód odbędzie się w tym ordynku.

Na czele iść będzie prefekt departamentu Sekwany i policyi, minister handlu i rolnictwa i generalny komisarz wystawy; obcy książęta; prezydent rzeczypospolitej; prezydenci senatu i izby deputowanych: członkowie ciała dyplomatycznego; deputowani korporacyj miejskich; starsi komisarze międzynarodowych wystaw; obcy jeneralni komisarze; dyrektorowie różnych gałęzi wystawy.

Pochód skieruje się na prawo około wodospadu i zstąpi do parku, a ztąd przez most Jena zejdzie na pole Marsowe.

Wojska tworzą szpaler.

U wejścia do Marsowego pola, na wspaniałej tarasie oczekiwać będą marszałka i jego towarzyszy, wszyscy członkowie senatu i izby deputowanych, urzędnicy sądów, administracyi, sztab generalny, prezydenci i członkowie stowarzyszeń itp. itp.

Orszak prezydenta uda się po skończonem powitaniu przez bramę honorową do wnętrza gmachu.

Po zwiedzeniu wstępnego pawilonu, gdzie znajdują się francuskie dyamenty koronne, wyroby z Sèvres, gobeliny z Beauvais i zbiory księcia Walii z ostatniej jego podróży zwiezione, uda się orszak dla zwiedzenia fasad wszystkich obcych oddziałów.

Przed wejściem do każdego oddziału stać będą ich komisarze, a w oknach zajmą miejsce małżonki komisarzy i zaproszone przez nie panie.

Widok tu obiecują bardzo oryginalny, ponieważ cała prawie płeć piękna naszej ziemi będzie jednocześnie reprezentowaną.

Następnie wstąpi orszak do *Ecole militaire*, gdzie wszyscy robotnicy i robotnice będą przy pracy.

Tu oczekiwać ma prezydenta niemiecka komisya wystawowa.

Po zwiedzeniu francuskiej wystawy, prezydent skieruje się do galeryi maszyn, które w tej chwili w ruch puszczone zostaną.

Następnie prezydent pożegna otaczające go osoby i wróci środkiem szpaleru wojskowego.

Oto program inauguracyi, który dawnego z r. 1867 wcale wstydzić się nie potrzebuje.

Liczba osób zaproszonych wynosi 25.000.

Pierwsze festyny nastąpią tym porządkiem: dnia 1go maja przyjęcie w pałacu elizejskim; dnia 2go obiad książąt; dnia 3go bal u ministra rolnictwa; dnia 4go obiad w pałacu elizejskim; dnia 5go obiad u ministra rolnictwa dla księcia Walii.

OJCIEC BOULLANGER.

LEGENDA.

Około godziny siódmej wieczorem, we wrześniu 1649 r. młody człowiek w mundurze gwardyi przybocznej zatrzymał się przed domem pod Nr. 6 przy ulicy des Poitevius.

Ubiór młodzieńca cały pokryty był kurzem, on sam wydawał się znużonym i zaniepokojonym. Bezwiednie prawie trzymał w ręku podniesiony młotek od bramy, jakby nie mogąc odważyć się na opuszczenie go; nareszcie, zdecydował się i uderzył raz jeden; bramę otworzono natychmiast i młodzieniec znikł w sieni.

Szybkim krokiem przebiegł schody, a zastawszy w saloniku na pierwszem piętrze służącego, szepnął mu kilka słów, a gdy ten ostatni wyszedł, rzucił się na fotel z wyrazem zdradzającym równie zmęczenie jak i moralne cierpienia.

Horacy de Breuil mógł mieć około dwudziestu pięciu lat; elegancki, wykształcony, pełen dystynkcyi, zalecony przytem z jak najlepszej strony księciu d'Enghien, miał widoki osiągnięcia prędzej czy później wysokiego stanowiska w obranym przez siebie zawodzie. Posiadał zresztą ku temu dwa najważniejsze warunki, wymagane w owych czasach od młodzieży poświęcającej się wojskowości, to jest wykształcenie i odwagę, gładkie pióro i nieomylną szpadę.

Przed dwoma tygodniami wydalił się z Paryża, aby przebyć kilkanaście tych dni w kółku rodzinnem, w Bretanii, a zarazem wyjednać u ojca pozwolenie, mające zapewnić mu szczęście na całą przyszłość. Horacy kochał i jedynem życzeniem jego było połączyć się świętym węzłem małżeństwa z wybraną swego serca.

W owej epoce, ojciec Boullanger, z zakonu augustyańskiego, znany powszechnie pod imieniem ojca Andrzeja, zabłysnął w wyższym świecie paryskim wymową kaznodziejską, której od lat czterdziestu już się poświęcił. Kazania jego, a raczej konferencye, wszedłszy w modę, były nadzwyczaj uczęszczane; królowa matka musiała być obecna na każdej z nich, a nawet sam książę d'Enghien zasmakował w nowym tym rodzaju dość oryginalnych kazań.

Jak dziwaczne rzeczywiście miewał pomysły ojciec Andrzej, przekonywa zachowane w kronikach współczesnych jego porównanie czterech doktorów kościoła z czterma królami w kartach:

Świętego Augustyna, nazywał królem kierowym — (*roi de coeur*) — dla jego miłosierdzia.

Świętego Ambrożego, z powodu kwiecistej wymowy, nazywał królem treflowym (*roi de trèfle*).

Świętego Hieronima, dla uszczypliwego stylu, królem pikowym (*roi de pique*).

Świętego Grzegorza Wielkiego, dla niezbyt górnego polotu, nazywał królem karowym (*roi de carreau* *).

Nie było to może zupełnie stosownem, ale było modnem, choć nie nowem, bo podobnemi dziwactwami odznaczali się już dwaj poprzednicy księdza Boullanger, słynni w swoim czasie kaznodzieje, Menot i Maillard.

Bądź co bądź, Horacy, idąc za przykładem ogółu, głównie zaś przyjaciół i stronników swego przełożonego, księcia d'Enghien, bywał regularnie na każdem kazaniu ojca Andrzeja. Nie zawadzi tu nadmienić, że tam właśnie znalazł to, czego z pewnością nie szukał, ani znaleść się nie spodziewał.

W gronie pobożnych, stale uczęszczających na kazania ks. Boullanger, znajdowało się młode dziewczę, której wzrok spuszczony, skupienie ducha, powabna i pełna skromności powierzchowność, niejednokrotnie zwracały

*) *carreau* — posadzka.

uwagę Horacego. Pod tą delikatną osłonką kształtów dziewiczych, odgadnąć było można serce czyste i niewinne, kryjące w sobie obfite skarby uczucia. Izabella nie wywoływała spojrzeń; same one zwracały się ku niej; jakby nie wiedząc o swojej piękności, ze szlachetną skromnością i niewypowiedzianym wdziękiem unosiła czarowną koronę jaką nieba otoczyły niewinne jej czoło. Nic też dziwnego, że w Horacego sercu, wolnem dotych czas, zapłonął tajemniczy ogień; Izabella była siostrzenicą ojca Andrzeja, młodzieniec bez namysłu stanął w rzędzie kandydatów do jej serca i ręki.

Ojciec Boullanger nie podobnym był wcale do owych zazdrosnych i opryskliwych stryjów Molierowskich; wiedział zresztą, że młody de Breuil pochodzi z dobrej, bretońskiej rodziny, że nadto ma za sobą silną protekcyę księcia d'Enghien, przyjął go więc z niekłamaną uprzejmością, a od tej chwili Horacy czuł się szczęśliwym bez granic.

Któżby jednak odgadnąć zdołał, co zaszło w sercu Izabelli? I ona była młoda, i ona dotąd nie kochała nikogo, oprócz Boga i swojego wuja. Zawsze prawie samotna, bez towarzystwa, bez wszelkich możliwych stosunków ze światem, nieomal wyrzekła się owych świętych rozkoszy, jakie są pociechą kobiety i dodają jej sił do spełnienia trudnego swego posłannictwa na tej ziemi. Nagle, w dniu, w którym po raz pierwszy ujrzała obok siebie Horacego, gdy usłyszała czuły i łagodny głos jego, dziwna nastąpiła w niej przemiana. Horacy był młodzieńcem przystojnym, wysokiego wzrostu, zgrabnie zbudowanym, nosił z wdziękiem dzielną swoją szpadę; maleńkie wąsiki, z lekka w górę zakręcone, dodawały twarzy jego pewien rycersko-wyzywający charakter, łagodzony wszakże czułem spojrzeniem błękitnych oczu. Izabella nie opierała się opanowującemu ją urokowi i niezbyt długo ukrywała przed przyszłym swym małżonkiem głębokiego uczucia miłości, jakiem przejęte było jej serce.

Czy szczęście może być trwałem na tej ziemi?

Pewnego wieczora Horacy uprzedził Izabellę, że nazajutrz wyjeżdża do Bretanii, prosić ojca o błogosławieństwo. Należałoby przypuszczać, że wiadomość ta, będąca zapowiedzią niezmiennego, wielkiego jeszcze szczęścia na przyszłość, powinna była cieszyć młode dziewczę; tymczasem biedna Izabella zalała się łzami i spoglądając z przerażeniem na ukochanego, przez kilka chwil nie mogła słowa przemówić.

— Horacy — wyrzekła nareszcie — czemuż chcesz mnie porzucić?.. co poczniesz tam z dala odemnie?.. powiedz, mój drogi!

— Za kilka dni będę z powrotem — odpowiedział Horacy — a potem nie opuszczę cię już nigdy.

Izabella wstrząsnęła smutnie główką i podała mu rękę.

— Jedź więc — rzekła trudnem do określenia brzmieniem głosu — niech się dzieje wola boska; ale mam jakieś przeczucie, że podróż ta przyniesie nam nieszczęście.....

Horacy napróżno starał się rozproszyć obawy swojej narzeczonej i następnego dnia pojechał.

Zaledwie jednak znalazł się pod ojcowskim dachem, zaledwie zdołał odetchnąć w spokojnem kółku rodzinnem, otrzymał list od ks. Andrzeja, z zawiadomieniem, że Izabella nagle zachorowała, i że powinien bez straty czasu pospieszyć, jeżeli chce jeszcze zastać ją przy życiu.

Horacy wyjechał natychmiast. Z chwilą powrotu jego do Paryża, rozpoczęliśmy nasze opowiadanie.

Od dziesięciu już minut, z twarzą ukrytą w obu dłoniach, siedział zagłębiony zupełnie w wspomnieniach rozkosznych, jakie te miejsca tak żywo przywodziły mu na pamięć, gdy drzwi się otworzyły i na progu ukazał się ojciec Andrzej.

Horacy zbudził się na ten szelest ze swych marzeń, zerwał się z fotelu, podbiegł ku ks. Boullanger i chwyciwszy go za ręce zawołał gorączkowym niepokojem.

— Izabella! gdzie jest Izabella?.. prowadź mnie ojcze do niej, chcę ją zobaczyć!...

— Izabella! — odpowiedział ksiądz słabym głosem.

— Gdzie ona jest?...

— Tam!.. i wskazał ręką na niebo.....

Horacy przez chwilę pozostał nieruchomy; następnie potarł kilkakrotnie ręką czoło, zesztywniał cały i nie ruszył się z miejsca.

Ojciec Andrzej z boleścią śledził najmniejszy ruch nieszczęśliwego młodzieńca; lecz kiedy ujrzał, że Horacy stoi milczący i nieruchomy, kiedy dostrzegł suche i błędne oczy jego zwrócone stale w posadzkę, zimny dreszcz przebiegł strapionego kaznodzieję.

— Horacy — przemówił łagodnie — przyjacielu mój, powiedz mi, co ci jest?

Usta młodzieńca wykrzywiły się konwulsyjnym śmiechem.

— Nic mi nie jest — odpowiedział — jestem spokojny zupełnie; cóż chcesz, żebym ci powiedział!... Oszukałeś mnie, stary, ale nie gniewam się o to; ja wiem, gdzie ona jest i znajdę ją...

Nieszczęśliwy utracił zmysły.

Chciał odejść. Ojciec Andrzej zatrzymał go i poprowadził do fotelu. Horacy nie stawił żadnego oporu, dając się powodować jak dziecię.

Długo trwał stan taki. Przywołany sławny doktor uznał chorobę za nieuleczalną. Horacy wyobrażał sobie, że Izabella żyje, że tylko nieprzyjaźne potęgi przetrzymują ją z dala od niego, ale nie tracił nadziei, że nadejdą lepsze czasy i oczekiwał cierpliwie.

Pewnego dnia był sam w swoim pokoju, jaki mu przeznaczył w własnym swym domu ks. Boullanger; chodził wielkiemi krokami wzdłuż i wszerz, bawiąc się od czasu do czasu to uchylaniem firanek u okna, to przeglądaniem różnych książek porozrzucanych po wszystkich meblach.

Wszedł ojciec Andrzej.

— Jak się miewasz, przyjacielu? — przemówił podając rękę choremu. — Czemu to nie chciałeś wyjść ztąd przed chwilą?

— Nie chcę się oddalać — odpowiedział Horacy — bo czekam tu na nią.

— Na kogo?

— Na Izabellę.

— I masz nadzieję, że ona przyjdzie?

— Jestem tego pewny.

Ojciec Andrzej umilkł na chwilę, a potem mówił dalej:

— Horacy, czy zechcesz pójść ze mną do saloniku?

— Nie pójdę!...

— Mógłbym ci tam udzielić bardzo radosną nowinę.

— Jaką?

— Izabella powróciła.

— Izabella!...

— Pojmujesz jednak. że nie wypada jej przyjść do twego pokoju, i dlatego pragnie ona przyjąć cię u siebie.

— Ah! chodź ojcze, chodź prędzej! — zawołał Horacy, usiłując pociągnąć za sobą księdza.

Ale ten zatrzymał go jeszcze.

— Tylko — dodał łagodnym głosem — Izabella zgadza się przyjąć ciebie pod jednym warunkiem.

— Na wszystko przystaję! Jakiż to warunek?

— Że nie będziesz z nią rozmawiał..

— Ah! — przerwał Horacy — byle tylko ją ujrzeć! od tak dawna oczekuję już tej chwili! chodźmy!

Przeszli do sąsiedniego pokoju.

Horacy zatrzymał się na progu w radosnem upojeniu.

Przy otwartem oknie siedziała rzeczywiście Izabella, z książką na kolanach.

Wejście wuja i narzeczonego nie zwróciło jej uwagi; zdawała się czytać z wielkiem zajęciem. Otaczał ją ten sam wdzięk uroczy, ten sam rumieniec krasił jej lica, taż sama pogoda świeciła na czole; była zawsze piękną, tak piękną, jaką ukochał ją Horacy.

W oczach uszczęśliwionego młodzieńca, zaświecił jasny promień przytomności.

— Niechaj ci Bóg wynagrodzi — rzekł do ojca Andrzeja — za to, żeś mi ją powrócił!

Od tej chwili Horacy codziennie przepędzał jedną godzinę w pokoju Izabelli, i wierny danemu słowu, nie przemawiał nigdy, zadawalniając się widokiem ukochanej.

Z każdym też dniem obłąkanie zmniejszało się widocznie i według zapewnień lekarza, chwila zupełnego wyleczenia była już niedaleką.

Pewnego wieczoru, po całogodzinnej wizycie u narzeczonej, ks. Boullanger odprowadził chorego do jego pokoju i zostawił go w stanie spokojniejszym jeszcze niż zwykle.

Zaledwie oddalił się ojciec Andrzej, Horacy, czy to pod wpływem powracających zdrowych zmysłów, czy też skutkiem chwilowego powątpiewania, zapragnął przekonać się dowodnie o istnieniu Izabelli, upewnić się, że obraz ten który widywał codziennie nie jest utworem jego wyobraźni. Wysunął się potajemnie ze swego pokoju i cichutko zakradł się do saloniku.

Izabella siedziała przy oknie, w tej samej zamyślonej postawie. Jakkolwiek noc już zachodziła, oczy jej zwrócone były na rozłożoną książkę, a żadnym, najmniejszym ruchem nie zdradzała świadomości o tem, co się w około niej dzieje.

Horacy poszedł ku niej ze drżeniem.

— Izabello! — rzekł głosem wzruszonym — to ja, Horacy, twój przyjaciel, twój narzeczony! czy nie poznajesz mnie?

Izabella nic nie odpowiedziała.

Horacy wziął ją za rękę.

Ręka ta była zimną.

Chciał złożyć pocałunek na dziewiczem jej czole.

Czoło było zlodowaciałe.

Położył wreszcie rękę na jej sercu.

Serce to nie biło!

Wydał krzyk straszny, który rozległ się po całym domu i przejęty rozpaczą wrócił do swego pokoju.

Jednocześnie nadbiegł i ojciec Andrzej.

— Nieszczęśliwy! — zawołał — cóżeś uczynił?

— Ah! — odpowiedział Heracy z zupełną już przytomnością umysłu — oszukałeś mnie, ojcze; ja tego nie przeżyję!

Tej samej nocy zapadł w chorobę, z której już nie powstał więcej.

Pozwolą może czytelnicy, że w formie epilogu do tej smutnej a prawdziwej historyi, przytoczymy kilka słów z współczesnych kronik.

„W kilka lat później — czytamy w owej kronice — książę Kondeusz, który z wielkim był zawsze szacunkiem dla ojca Andrzeja, postanowił odwiedzić go w jego domu, przy ulicy des Poitevins.

„Ojciec Boullanger postarzał się bardzo; od dawna już nie miewał kazań i zerwał wszelkie stosunki ze światem. Całe dnie spędzał w zamknięciu u siebie, przy pracy.

„Skoro książę znalazł się w saloniku poprzedzającym gabinet ojca Andrzeja, ujrzał przed sobą młodą i piękną panienkę siedzącą w framudze okna i z wielkiem zajęciem czytającą książkę, jaką trzymała rozłożoną na kolanach.

„Książę skłonił się jej uprzejmie; dziewica nie dostrzegła jego ukłonu; przemówił do niej, ale słowa jego pozostały bez odpowiedzi. Książę nie wiedział już co ma o tem myśleć, gdy drzwiami od gabinetu wszedł ojciec Andrzej.

— „Niechaj Waszą Wysokość nie dziwi jej milczenie — przemówił do gościa. — To moja siostrzenica!..... zmarła przed dziesięciu laty".

Piotr Zaconne.

Od Redakcyi.

Pan Bruno Abakanowicz, nie podzielając opinii redakcyi wyrażonej w Nrze 25 „Tygodnia" w sprawie między B. Prusem a młodzieżą warszawską, usuwa się z redakcyi, nie przestając i nadal cennem swem współpracownictwem zasilać pisma.

Redakcya.

Treść Nr. 36.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) **Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.**

Koniec tomu szóstego.